



W numerze: WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ *Cedry, palmy i cyprusy* • WIESŁAW JAŹDZYŃSKI *W ostatniej godzinie* • *Sprawy szkieł kontaktowych ciąg dalszy* • JACEK WIERZBIŃSKI *Szlagier sezonu* • *Wakacyjny konkurs* • *Nowela kryminalna*

Opole 71



28 (712)
11. VII. 1971 r.
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV



ANDRZEJ MAKOWIECKI

Opole 71

Bomba w górę

Jak byłem mały to chodziłem na basen „Zjednoczonych” i pewnego dnia przed południem zauważyłem trzech biednie wyglądających, ostro przykurzonych chłopaków, którzy najpierw bezskutecznie napraszali się bramkarza, żeby ich wpuścił na gapę, później usiłowali sforsować drucianą, pilnowaną przez cerberów siatkę, a jeszcze później pogodzeni z wrednym losem, wysupiali z kieszeni grosiwo i odliczyli drżącymi rękami należność za bilety...

Kiedy o piątej wieczorem, wyglodniały i zmęczony opuszczałem basen — spotkałem ich znowu zgęszających i sinych od chłodu na drodze do wyjścia; ten najmniejszy skamlał coś o domu, ten średni zachował milczącą, ponurą neutralność, natomiast ten najstarszy: głos wyrachowania i rozsądku, perorował zawzięcie w takim mniej więcej stylu:

— A zapłacił? Zapłacił? To trzeba wszystko wykorzystać. Jeszcze cała godzina do zamknięcia. Chodźta do wody!

Co to ma wspólnego z Opolem? Uspokój się!

Scena ta powtórzyła się w karykaturalnej odmianie podczas finałowego koncertu „Mikrofon i Ekran”, na który bilet wstępu kosztował „tylko” sześćdziesiąt pięć złotych.

Niektóre piosenki były przeraźliwie nudne i brzydkie, a przecież ludzie krzyczeli: bis!

Mieczysław Fogg, człowiek skądinąd bardzo zasłużony, śpiewał niebywałego knota o słowach tak żenujących, że czerwieniałem się ze wstydu — a ludzie krzyczeli: bis!

Rena Rolska roztaczała przed widownią ekliwską panoramę przeszłości („Pojeździemy przez Warszawę, pan Marwan! wszak nas prosi na zabawę”), a ludzie krzyczeli: bis!

Im nudniej, tym cudniej. Publiczność zapłonęła żądzą maksymalnego wykorzystania wszystkich piosenkarzy i wbrew rzeczywistym potrzebom natury estetycznej (często cisza jest piękniejsza od muzyki), wywoływała na scenę nawet tych najgorszych, dawno przechodzonych

piosenkarzy, bo przecież skoro się zapłaciło, to trzeba wszystko wykorzystać...

Mało kto zastanawiał się natomiast, czemu zabrakło w programie kilku rzeczywiście dobrych piosenek i wykonawców, czemu, na przykład, nie wystąpił przebywający w Opolu, od lat dyskryminowany Niemen i przebywająca w Opolu Ewa Demarczyk, czemu utraciono świetną, mającą wszelkie cechy przeboju, piosenkę Trubadurów i niewiele gorszą piosenkę Framarów, czemu zamiast Adama Zwierzę nie zaśpiewał znajdujący się w dużej formie Krzysztof Cwynar, a zamiast przeżyjącej wyraźny kryzys Sławy Przybylskiej — Jan Pietrzak, Wojciech, Siemion, czy też Halina Frąckowiak.

Nikt nie łamał sobie również głowy werdyktami jury, a przecież wzbudzały one duże wątpliwości. Zgoda, trzy równorzędne pierwsze nagrody przypadły piosence ambitnym „Korowód” Marka Grechuty, „Z tobą w górach” K. Gärtner i J. Kleynego w wykonaniu Maryli Rodowicz oraz „W Polskę Idziemy drodzy panowie” Wasowskiego i Młynarskiego w znakomitej interpretacji Wiesława Gołasa — z pewnością zasługiwały na wysokie wyróżnienia, jednakże w puli nagród dodatkowych, przyznawanych szczerze przez rozmaite instytucje i urzędy, zabrakło miejsca dla wspomnianego już Krzysztofa Cwynara, który w czasie prób uchodził w oczach orkiestry Rachonia i przysługujących się koneserów za pewnego faworyta, Haliny Kunickiej, która miała bez wątpienia największe powodzenie u publiczności, a śpiewana przez nią piosenka „Jeszcze nie raz” była chyba jednym z nielicznych, prawdziwych przebojów Opola (obok innej, także pominiętej przez jury piosenki „Czerwonych Gitar”) oraz Zdzisławy Sońcickiej, która dzięki wspaniałym warunkom głosowym uchodziła w kulturalnych za największą rewelację Festiwalu...

Dalszy ciąg na str. 4

Realny program poprawy

— Panie Doktorze, w jakim kierunku zmierza działanie Związku w zakresie poprawy warunków bytowo-socjalnych pracowników przemysłu włókienniczego?

— Odnotujemy pierwsze realne kroki na tej drodze: dwa płatne dni wolne w ciągu roku dla matek z dziećmi do lat czterech oraz zniesienie trzeciej zmiany w soboty. To ostatnie udogodnienie, choć na razie skromne, kobiety sobie chwala, gdyż zyskują nieco czasu na opędzenie najpilniejszych spraw tygodnia. Dążymy też do zmian, które by odciążyły kobietę-matkę od zajęć rodzinnych. Pracujemy bardzo intensywnie nad dokładnym rozpoznaniem sytuacji pracujących kobiet, szczególnie sytuacji pracujących matek. W przemyśle lekkim w Łodzi, 70 procent pracujących kobiet jest zamężnych, a z tych — 60 procent ma dzieci. W naszych badaniach mamy też na uwadze ich budżet czasu. Nasze socjologiczne sondáže wykazują, iż matki pracujące, zwłaszcza w systemie trójzmianowym, mają zbyt mało czasu na wypoczynek. Chcemy więc, m. in., stworzyć im także możliwość pracy na pół etatu, pracy chałupniczej itp. Z tych udogodnień mogłyby

skorzystać głównie kobiety, znajdujące się w lepszej sytuacji materialnej, a przeciążone zajęciami domowymi i opiekuńczymi. Pragniemy, aby matki małych dzieci nie były zatrudniane na nocnych zmianach. Na marginesie wspomnę, iż marzeniem polityków socjalnych jest w ogóle skrócenie o jeden dzień w tygodniu pracy kobiet. Najbardziej pożądane byłoby soboty, co łącznie z niedzielami, dałoby im dwa dni na uporządkowanie spraw domowych i odpoczynek. Na razie jednak konkretne zamierzenia w tej sprawie dotyczą stanowisk pracy szczególnie szkodliwych dla zdrowia. Oczekujemy na dłuższe urlopy macierzyńskie, na wprowadzenie dość długich, odpłatnych przerw w pracy na odchowanie dzieci. Jest to jednak kwestia skomplikowana i wiąże się ze zmianami funkcji wydziałów zatrudnienia. Dużą wagę przykładamy do warunków socjalnych w samym środowisku pracy — w fabryce. Musi ona być wszechstronnie wyposażona w urządzenia socjalne, które by ułatwiały życie już nie tylko kobietom — pracownicom, lecz również żonie, matce i gospodyni domowej w jednej osobie.

Dalszy ciąg na str. 2

Z KIEROWNIKIEM OŚRODKA NAUKOWO-BADAWCZEGO ZG ZW. ZAW. WŁÓKNIARZY,
DR JÓZEFEM MARCZAKIEM
ROZMAWIA WŁODZIMIERZ STOKOWSKI



Droga do postępu i wiedzy niejednokrotnie usłana była ofiarami życia. Taką cenę zapłacili również trzej radzieccy kosmonauci — w końcowym etapie swej 24-dniowej podróży na orbitalnych szlakach. Jak na ironię losu — tragedia zdarzyła się w chwili, kiedy wszystko wskazywało na to, iż kolejny eksperyment, polegający na połączeniu i rozłączeniu dwu pojazdów w przestrzeni kosmicznej, był najbardziej udanym ze wszystkich. Tego rodzaju manewry uważane były bowiem za najtrudniejsze. Niestety — ich pomyślny przebieg znalazł swój tragiczny finał, tym boleśniejszy, że powstały nie z powodu niedoskonałości eksperymentu. Wydarzyła się tragedia, która nie jest porażką myśli naukowej i technicznej.

Nie znamy jeszcze przyczyn kosmicznego dramatu. Specjaliści snują na ten temat różne domysły, powtarzając najczęściej dwa powody: niewytrzymałość ludzkiego organizmu na przyciąganie ziemskie po dłuższym przebywaniu w stanie nieważkości oraz uszkodzenie w ostatniej fazie lotu któregoś z urządzeń podtrzymujących życie na pokładzie statku. Są to jednak domysły — prawdę poznamy dopiero po zakończeniu śledztwa, jakie prowadzi specjalnie powołana komisja. Być może — wynikną z niej dla konstruktorów pojazdów kosmicznych zupełnie nowe problemy, być może — zmuszą do nowych poszukiwań.

Śmierć G. Dobrowolskiego, W. Wołkowa i W. Pacajewa wstrząsnęła światem. Powodem głębokiego smutku, który przekroczył granice państwowe, jest coś więcej niż tylko śmierć trzech ludzi. Jest śmierć ludzi pełnych odwagi, gotowości sięgnięcia po granice ludzkiej wiedzy i wytrzymałości, samozaparcia, z jakim realizowali trudny program kosmiczny.

Lista ofiar śmiertelnych eksperymentu kosmicznego wzrosła do 7. Czy kosmos nie pochłonie już więcej ofiar? Nikt nie jest w stanie udzielić odpowiedzi na to pytanie. Znaczący byłoby to bowiem albo zaniechanie realizacji kosmicznego programu, albo z ryzykowną śmiałością stwierdzić, że wyeliminowane zostaną z tych lotów wszystkie niebezpieczeństwa. I jedno i drugie nie jest możliwe.

Choć więc brzmi to tragicznie paradoksalnie, prawda przecież jest taka — życiem swym radzieccy kosmonauci, których prochy spoczęły w murze kremlo-wskim, utorowali drogę dalszym podróżom pozaziemskimi. Właśnie dlatego ludzkość złożyła im swój najwyższy hołd, zapisując ich nazwiska wśród nazwisk bohaterów.

*

Nie schodzący z porządku dnia od dłuższego czasu problem Wietnamu — w tych dniach znów wzbudził powszechne zainteresowanie. Przewodnicząca delegacji TRRR Wietnamu Południowego na konferencję paryską — pani Binh przedstawiła nową 7-punktową propozycję, która poddyktowana jest — jakże często okazywaną — chęcią pokojowego rozwiązania konfliktu.

Przynosi ona gotowość osiągnięcia porozumienia ze Stanami Zjednoczonymi w sprawie:

- Δ wycofania w warunkach pełnego bezpieczeństwa całości wojsk USA oraz innych wojsk obcych;
- Δ uwolnienia wszystkich jeńców wojennych, co umożliwi im rychły powrót do domów.

Obie operacje zaczęłyby się i skończyły tego samego dnia.

USA — podkreślają propozycję — muszą jednak w ciągu bieżącego roku ustalić datę wycofania swoich wojsk.

W nowych propozycjach jest także wyrażona konkretna sugestia rozwiązania problemu politycznego w Wietnamie Południowym, uwolnionym od obcych wojsk. Tymczasowy Rząd Rewolucyjny gotów jest podjąć rozmowy w celu powołania do życia rządu „zgody narodowej” i przeprowadzenia swobodnych i demokratycznych wyborów.

Reakcja Białego Domu na ten nowy akt dobrej woli ze strony walczącego Wietnamu nie jest jednoznaczna. Warto jednakże zauważyć, że tym razem w miejscu propozycji nie odrzucono, stwierdzając, że są w niej zawarte „elementy pozytywne i elementy wyraźnie nie do przyjęcia”. Z wypowiedzi prasowych można wnioskować, że za te pierwsze uznano w Waszyngtonie nieskonkretyzowanie daty wycofania wojsk, uwolnienie jeńców oraz gotowość nawiązania dialogu z administracją sajsjońską, chociaż nie obecna. Ostrożna odpowiedź na propozycję ma być udzielona na forum konferencji paryskiej, ale „niekoniecznie na następnej sesji”.

Uważa analiza tekstu TRR wykazuje, że stworzona została nowa platforma do rozmów, która może wprowadzić rokowania paryskie do długo trwającego impasu. Z całą pewnością propozycję te przyjęte zostaną z aprobatą przez krytyków wietnamskiej polityki Nixona, zniecierpliwionych przedłużającą się wojną. Ale czy przez samego Nixona i jego administrację?

Chcielibyśmy wierzyć, że szansa osiągnięcia pokoju nie zostanie przez Waszyngton zmarnowana.

W. SLAWSKI

Realny program poprawy

(Dalszy ciąg ze str. 1)

— Zmora kobiet pracujących są zakupy...

— Tak, chciałem właśnie o tym mówić. Otóż w zakładach pracy musi być szeroko rozwinięty system żywienia zbiorowego, pożywnego i niedrogiego, który rozwiąże problem gotowania obiadów w domu. Ponadto w zakładach pracy powinny działać bufety i stoiska z artykułami żywnościowymi, żeby kobieta mogła w nich dokonać doraźnych i niezbędnych zakupów. A nie stać po pracy w kolejkach.

— Panie Doktorze, obok zakupów kobiety pracująca ma jeszcze jeden problem — wychowanie dzieci.

— W związkowym programie pomocy kobiecie pracującej znajduje się także szeroko rozbudowany system opieki nad dziećmi, a między innymi także w tych samych zakładach, w których pracują ich matki. Pozwoli im to na łączenie pracy zawodowej z życiem codziennym.

Oczywiście mamy też na uwadze i inne formy pomocy społecznej, jak, na przykład, wczasy — tanie lub bezpłatne, sieci bezpłatnych przedszkoli, system świetlic szkolnych, kolonii dla dzieci i szereg innych.

— Czy te szerokie zamierzenia, o których Pan mówił, są już ujęte w konkretnym programie działania?

— Tak. Projekt takiego programu już opracowaliśmy, łącznie z planem inwestycyjnym. W dokumencie tym, który przedłożyliśmy odnośnym władzom, znajdują się i te zamierzenia, o których mówiłem, a raczej wspominałem, jak również wiele innych, o których nie powiedziałem. Na doraźne nakłady w zakresie poprawy warunków społecznych w fabrykach włókienniczych otrzymał nasz Związek 20 milionów złotych z CRZZ. Niezależnie od tego Związek przeznaczył na cele społeczne dodatkowo około 4 milionów złotych z własnego budżetu.

— Chcąc zaspokoić potrzeby — trzeba je znać. Czy ośrodek badawczo-naukowy ZG Związku zna strukturę demograficzną załóg łódzkich fabryk włókienniczych i ich potrzeby bytowe?

— Prowadziliśmy od dawna i prowadzimy także obecnie, badania, mające na celu poznanie struktury demograficznej załóg fabrycznych oraz ustalanie dokładnej wielkości i rodzajów ich potrzeb bytowych i społecznych, a także ich rodzin. Toczą się na ten temat dyskusje w ogniwach związkowych różnych szczebli i są transmitowane do mas włókienniczych za pośrednictwem prasy związkowej. Sądymy, że wymiana zdań na tak szeroką skalę pomoże w ustaleniu wymiaru i hierarchii potrzeb społeczno-bytowych włókienniczych oraz zorientuje nas w aktualnych możliwościach ich zaspokojenia.

Uwagę w tym wielokierunkowym działaniu Związku koncentrujemy zwłaszcza na rodzinach wielodzietnych, na rodzinach o niskim dochodzie na jednego członka rodziny, na jedynych żywcielach rodzin i in. Tendencja do stworzenia lepszych warunków społeczno-bytowych pracownikom przemysłu włókienniczego była w naszym Związku bardzo żywa, ale, niestety, z próżnego i Salomon by nie nalał. Teraz, w nowej, bardziej pomyślnej sytuacji dla Łodzi, tendencja ta jest szczególnie silna.

— Czy Ośrodek prowadził badania, dotyczące poziomu stopy życiowej włókienniczych?

— Tak. Z punktu widzenia metodologicznego jest bardzo ważne ustalenie, co uważamy za miernik dostatecznego poziomu życiowego. Jednym z kilku może być miernik płac. Został on już od dawna ustalony. Płace w przemyśle lekkim są jedne z najniższych spośród wszystkich gałęzi przemysłu i kształtowały się przeciętnie poniżej dwóch tysięcy złotych miesięcznie na robotnika. Teraz, po dokonanych podwyżkach, płaca ta wynosi przeciętnie 2060 zł. Związek będzie zabiegał o podniesienie tej płacy przeciętnej.

Drugim ważnym miernikiem jest liczba osób pracujących w rodzinie. Ustalenie tej liczby jest bardzo istotne, gdyż

wskazuje ona na poziom dochodu rodziny. Wiemy, że takich rodzin, w których pracuje sporo osób, jest dość dużo. Na przykład w rodzinach trzyosobowych pracuje przeciętnie ponad połowa członków rodziny — 1,52 procent. W rodzinach czteroosobowych procent ten wynosi 1,81, a w pięcioosobowych i liczniejszych — 2 procent.

Trzecim miernikiem, i chyba najbardziej miarodajnym, jest dochód na osobę w rodzinie. Znamy również i ten miernik. Jest on przedmiotem badań Związku już od lat, przede wszystkim badań ankietowych, a także badań odsetek rodzin o niskim dochodzie na osobę. I tak, na przykład, 50 procent rodzin czteroosobowych — jest to rodzina najbardziej typowa — w których dwoje małżonków pracowało, utrzymując dwoje dzieci w wieku szkolnym, miało dochód poniżej tysiąca złotych na osobę w rodzinie. Z takim samym dochodem na osobę było 32 procent rodzin o różnej liczbie członków. Dane te dotyczą sytuacji rodzin włókienniczych w Łodzi, w ubiegłym roku. W województwie rodzin z dochodem poniżej tysiąca złotych na osobę było 64 procent.

— Są rodziny, w których pracuje tylko jedna osoba.

— Oczywiście. W takich rodzinach włókienniczych, znajdujących się, rzecz prosta, w trudnej sytuacji, miernik ten kształtuje się różnie. Rodzin takich jest około 11 procent. W rodzinach wielodzietnych z jedną osobą pracującą, dochód na osobę był bardzo niski. Nie chcę rzucać za dużo liczb, ale na przykład w pięcioosobowych rodzinach jedynych żywcieli dochód na osobę nie przekraczał 600 złotych miesięcznie.

Ostatnie podwyżki najniższych uposażeń oraz zwiększenie dodatków rodzinnych, aczkolwiek na razie niewysokie, mierniki te — w bieżącym roku — ukształtowały nieco korzystnie.

Podane przykłady są, oczywiście, bardzo fragmentaryczne. Chodziło mi tylko o wykazanie, jak dalece konieczne jest precyzyjne ustalenie tych wszystkich mierników, żeby względnie dokładnie określić poziom stopy życiowej pracowników naszej branży. A mamy przecież i rodziny o jednym żywciele, czy żywicielce, z różną liczbą dzieci i ustalenie dochodów tych wszystkich kategorii rodzin jest konieczne, a wcale niełatwe. Związek i rady zakładowe zawsze dążyły do objęcia rodzin najgorzej sytuowanych różnymi formami pomocy społecznej. Pomocy tej udzielano, w miarę zasobów związkowych, tylko że zasoby te były dość skromne. Obecnie pomoc ta będzie większa w ramach ogólnej polityki społecznej, dzięki wzrostowi płac oraz większym świadczeniom społecznym w przemyśle lekkim.

— Panie Doktorze, jak przebiega rewindykacja pomieszczeń społecznych w fabrykach?

— Różnie. W jednych zakładach pracy przebiega dość szybko, zaś w innych — wolniej. Związek i rady zakładowe, jak również organizacje partyjne i administracje zakładów pracy zwracają baczną uwagę, aby zwrot pomieszczeń, przeznaczonych na potrzeby społeczne załóg fabrycznych, odbywał się jak najszybciej.

— Czy Związek otrzyma wystarczające środki finansowe na wykonanie swego programu?

— Tak. Program jest realny. Przedłożyliśmy go, jak już wspominałem wcześniej, komisji koordynacyjnej do spraw społeczno-bytowych w przemyśle lekkim, która tę politykę społeczno-bytową ma realizować.

— Jak duże są te środki?

— Szacujemy, iż wysokość nakładów na poprawę warunków społeczno-bytowych włókienniczych i innych grup zawodowych, objętych działalnością Związku, wyniesie w bieżącym pięcioletnim 1 miliard 765 milionów złotych. Kwotę tę otrzymamy. Jest ona dość duża i chciałbym podkreślić, iż w żadnym minionym pięcioletniu tyle pieniędzy na te cele nie otrzymaliśmy.

— Jakie nowe inwestycje społeczne powstaną w bieżącym planie 5-letnim?

— Wszystkie wymienić byłoby trudno. W programie mamy na przykład: 59 nowych żłobków, 62 przedszkola, 31 ośrodków kolonijnych, 14 ośrodków kolonijno-wczasowych, 39 ośrodkówczasowych, 12 ośrodków turystycznych, 62 stołówki, 36 przychodni służby zdrowia, 11 placówek kulturalnych, 4 ośrodki sportowe.

Jest to duże zamierzenie. I, co najważniejsze, nareszcie w pełni realne! Należy podkreślić, iż wszystkie istotne sprawy, dotyczące poprawy warunków pracy i życia włókienniczych i ich rodzin były ostatnio przedmiotem obrad łódzkiej instancji partyjnej i plenarnych obrad Związku Zawodowego Włókienniczych.

INTERESUJĄCA impreza naukowa odbyła się w dniu 3 czerwca br. na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Łódzkiego. Mianowicie po raz pierwszy gościli w Łodzi uczestnicy Polsko-Francuskich Dni Prawniczych, które zorganizowano już ósmy z kolei raz. Na czele delegacji francuskiej, składającej się głównie z profesorów prawa uczeni paryskich, stał radca stanu prof. Maxim Letourneur, który też kierował obradami.

Łódzkie obrady wyróżniały się z dotychczasowych spotkań. Do tej pory bowiem tradycyjnie zajmowano się w czasie Dni Polsko-Francuskich tematyką prawa cywilnego i prawa karnego. Tym razem posiedzenie poświęcono zagadnieniom prawnofinansowym. Przedmiotem obrad była kontrola finansowa przedsiębiorstw państwowych. W ramach spotkania wygłoszono dwa referaty. Ze strony francuskiej prof. Paul Gaudemet mówił na temat „Kontrola finansowa przedsiębiorstw państwowych we Francji”; zaś stronę polską reprezentowała doc. dr habilit. Natalia Gajl (Uniwersytet Łódzki) opraco-

Spotkanie naukowe w Uniwersytecie Łódzkim

waniem pt. „Zakres kontroli finansowej przedsiębiorstw państwowych”.

Ożywiona dyskusja, jaka toczyła się po wygłoszeniu referatów, przyniosła wiele cennych ustaleń porównawczych. Wielokrotnie wskazywano w niej na rozmaite analogie między rozwiązaniami polskimi i francuskimi. W obu krajach podobna była geneza i kierunek rozwoju systemu kontroli finansowej, zbliżone tendencje i założenia dalszej ewolucji systemu, a nawet częściowo wspólny charakter czynników prawno-organizacyjnych i gospodarczych, wpływających na obecny i przyszły kształt rozwiązań w dziedzinie kontroli finansowej przedsiębiorstw.

Równocześnie jednak podkreślono wyraźnie różnice zachodzące między oboma systemami. Tu przede wszystkim zwrócono uwagę na odmienną rolę przedsiębiorstw państwo-

wych w gospodarce Francji i Polski, a tym samym na różne zadania i prawne formy kontroli finansowej tych przedsiębiorstw.

Uczestnicy dyskusji ustalili, że kontrola finansowa powinna być zsynchronizowana z obowiązującymi zasadami zarządzania i finansowania przedsiębiorstw państwowych. W zależności od tych zasad większą rolę należy przypisać bądź kontroli wewnętrznej (w samym przedsiębiorstwie lub w ramach grupy przedsiębiorstw: w Polsce — w zjednoczeniu lub kombinacie, we Francji — w przedsiębiorstwach mających swoje filie lub subfilie), bądź też kontroli zewnętrznej (sprawowanej przez ministerstwo, bank lub specjalne instytucje, np. w Polsce — Najwyższą Izbę Kontroli, we Francji — Komisję Weryfikacji Rachunków).

Przyjęto także powszechnie poglądy, iż konieczne jest do-

konanie stosownych zmian w samym sposobie sprawowania kontroli finansowej. Mianowicie, zamiast — jak dotychczas — posługiwać się wyłącznie kryterium legalności czyli zgodności z przepisami prawa, należy coraz szerzej i przede wszystkim stosować kryterium efektywności ekonomicznej, a więc oceniać działalność przedsiębiorstwa z punktu widzenia jego rezultatów finansowych, a szerzej — gospodarczych.

Zainteresowanie nową — w porównaniu do dawniejszych spotkań — tematyką obrad było tak duże, że postanowiono kontynuować rozważania zagadnień prawnofinansowych również w czasie następnego Dni Prawniczych. Wstępnie ustalono, że kolejne spotkanie, jakie tym razem odbędzie się we Francji, poświęcone będzie sprawom kredytów publicznych oraz zarządu lokalnego.

Uczestnicy obrad bardzo pochwlebnie ocenili wysiłki organizatorów posiedzeń, a szczególnie gości francuscy, którzy poprzedniego dnia obejrzeli „Fausta” w Teatrze Wielkim, opuszczali Łódź z opinią jak najlepszą.

Przyjęto także powszechnie poglądy, iż konieczne jest do-

R. C.



„Smierć konia pocztowego” — rzeźba Messina

WŁADYSŁAW
RYMKIEWICZ

Cedry palm i cyprysy

Po dwóch godzinach od startu z lotniska warszawskiego na Okęciu sześćdziesięciosobowy samolot Polskich Linii Lotniczych „Lot” Tu-134 ląduje bez wstrząsu na płycie wielkiego portu lotniczego imienia Leonarda da Vinci w miejscowości Fiumicino, położonej o trzydzieści kilometrów od Rzymu.

Pomimo że jest dopiero połowa kwietnia, fala upału uderza w twarz po wyjściu z chłodnego dobrze klimatyzowanego wnętrza samochodu. Nieomylny to znak że znalazłem się na południu kontynentu europejskiego. W chwilę później odnajduję podobne znaki w krajobrazie, gdy przed rozwijającym niedozwoloną szybkością „Fiatem” ukazują się na niewysokich wzgórzach podobne w kształcie do wydłużonego wrzeciona cyprysy i iglaste pinie, które z daleka przypominają ustawioną na wywrót na długim kiju domową szcztokę do zamiatania.

Zjeżdżamy z autostrady w ulice Wiecznego Miasta zapechane — jak we wszystkich wielkich miastach na zachodzie Europy — zaparkowanymi (z braku garaży) samochodami, które zajmują obustronnie część jezdni i chodników tak, że przechodnie w godzinach wzmoczonego ruchu muszą tłoczyć się, przepychać i przeciskać pod murami domów.

Moi przyjaciele tłumaczą: trzymilionowy Rzym posiada jeden milion i trzysta tysięcy samochodów, a więc, jeden wóz przypada na dwa i trzy dziesiąte statystycznego rzymianina. Ale nie mamy powodu, żeby Włochom zazdrościć osiągnięć w tej dziedzinie. Rozwój motoryzacji dał się we znaki ludności miasta i turystom, którzy boją się przechodzić na skrzyżowaniach tam, gdzie są tylko „zebrzy”, a nie ma świateł sygnalizacyjnych, bo nie wiadomo, czy jakiś zapalony motocyklista albo auto z nieprzymyślnym kierowcą nie wyskoczy zza rogu. O „korkach” mówi się tutaj, że kto niecierpliwy i komu pilno na wyznaczoną godzinę, ten lepiej zro-

bi, jeżeli wyjdzie z domu wcześniej i pójdzie pieszo.

Pomimo plag motoryzacji Rzym nie stracił nic z fascynującego uroku miasta cesarów i papieży, na którym przeszłość odcisnęła niezatarte ślady, i które wzbudza jak dawniej, tak i dziś, podziw w różnojęzycznych tłumach turystów z całego świata.

„W swoim malarstwie, rzeźbie, renesansie Rzym jest najwspanialszym muzeum, jakie kiedykolwiek istniało na świecie”, pisał Gustaw Flaubert pod wrażeniem, jakie wywołał z miasta siedmiu wzgórz. „Ilość arcydzieł jest oszałamiająca. To istotnie miasto artystów. Można tutaj przeżyć życie w atmosferze wzniosłości i ideału, poza światem i ponad światem”, zachwycił się autor „Pani Bovary”.

Porównanie z „najwspanialszym muzeum” nie zawiera przesady. W Rzymie co czwarty dom to pałac, zabytek starożytności, fasada lub portal barokowej świątyni; co kilkadziesiąt kroków pomnik, obelisk, łuk tryumfalny lub fontanna szeleszcząca wodnym pyłem; nowoczesny Pałac Sprawiedliwości niemal sąsiaduje z ogromnym Zamkiem świętego Anioła, monumentalną budowlą, którą wybudował cesarz Hadrian w 136 roku przeznaczając ją na swój grobowiec; tak samo, wzniesiony między rokiem 1885 a 1911 dla upamiętnienia zjednoczenia Włoch pomnik króla Wiktora Emanuela II z erygowaną po pierwszej wojnie światowej Mogiłą Nieznanego Żołnierza (całość zwana Ołtarzem Ojczyzny) znajduje się w środku miasta, w pobliżu Kapitolu, Forum Romanum i ciemnych murów odartego z marmuru i dawnej świetności, pośpiegu dziś Koloseum. Starożytność, średniowiecze renesans i barok sąsiadują w Wiecznym Mieście ze współczesnością tworząc nie spotykaną gdzie indziej, zharmonizowaną całość; ozdobioną przez

dekoracyjne cedry, platany, drzewka migdałowe i cyprysy.

2.

Zamieszanie Włochów do piękna linii architektonicznej, efektów plastycznych i kontrastów dekoracyjnych znalazło wyraz w zaplanowaniu i wzniesieniu całkowicie nowoczesnej dzielnicy Rzymu znanej pod nazwą EUR czyli — mniej więcej — europejska, uniwersalna, reprezentacyjna. W EUR nie ma zabytków, w EUR wszystko jest nowoczesne i funkcjonalne, poczynając od imponującego Palazzo della Civiltà Italiana i ogromnej szklanej rotundy Palazzo dello Sport, a kończąc na kolumnach pałacu Centro Mondiale Commerciale. EUR jest dzielnicą reprezentacyjną, w której organizowane są wystawy i zjazdy międzynarodowe, ale jest również dzielnicą mieszkaniową (luksusowe mieszkania do wynajęcia o fantastycznie wygórowanym czynszu), w której wznoszą się wieżowce i potężne bloki, przy czym żaden z nich nie jest podobny do drugiego. Wznosząc bloki i wieżowce Włosi uniknęli schematu, przypominającego styl koszarowy, czego nie zawsze udało się uniknąć współczesnemu budownictwu europejskiemu.

Czy wszystko mi się w Italii podobało? Nie wszystko. Nie podobały mi się włoskie audycje telewizyjne z denerwującymi przerywnikami reklamowymi. Nie podobały mi się pretensjonalne i ogłupiające filmy telewizyjne, o których nie można powiedzieć że są szmira, ponieważ nie zasługują nawet na taką kwalifikację. Natomiast podobał mi się pomysł wzniesienia przed pałacem rzymskiej telewizji i radiofonii pomnika dłuta rzeźbiarza Messiny „Smierć konia pocztowego” symbolizującego zdystansowanie dzielnego zwierzęcia przez środki masowego przekazu. Nie podobały mi się też plachty transparentów propagandowych rozwieszonych nad ulicami w związku z wyborami do władz komunalnych i wzywają-

cych do głosowania na kandydatów odnośnych partii, ani sposoby werbowania wyborców przez wciskanie przechodniom do rąk ulotek z życiorysem i fotografią kandydata na radnego oraz — z kubanem. Jako kuban dodawano długopis. Obiektywnie muszę jednak przyznać, że trafił do mych rąk wartościowy długopis z hasłem Chrześcijańskiej Demokracji: Per la D.C. al comune vota Rebecchini.

Z napisów propagandowych i ciągłych strajków (w ciągu dwóch miesięcy cztery strajki) pocztowców, pracowników szpitalnych, pracowników portu lotniczego i pracowników oczyszczania miasta, cudzoziemiec dochodzi do przekonania, że pojęcie wysokiej stopy życiowej nie obejmuje bez reszty całej trzymilionowej ludności Rzymu, wśród której toczy się nieustająca walka o podział dochodu narodowego.

Oprócz konfliktów natury ekonomicznej i politycznej Wieczne Miasto jest wstrząsane co pewien czas wiadomościami o nie ustabilizowanej sytuacji wewnętrznej Kościoła. Zaniepokojenie katolickiej opinii publicznej wywołała manifestacja zorganizowana przez tak zwanych „tradycjonalistów”. Jest to odłam katolików, którzy żądają powrotu, a raczej przywrócenia języka łacińskiego w liturgii rzymskiej. W połowie maja br. gromady „tradycjonalistów” okupowały przez dwa dni i dwie noce plac św. Piotra przed bazyliką domagając się, aby papież udzielił audiencji delegatom. Policja włoska obserwowwała manifestantów krążąc wokół placu w obawie przed możliwością ekscesów, lecz nie przeszkadzała „tradycjonalistom” w obozowaniu ani w noclegach pod watykańskim niebem. Rozważny Paweł VI idąc pod wieloma względami śladem reform zapoczątkowanych przez swego wielkiego poprzednika Jana XXIII odmówił udzielenia audiencji manifestantom, którzy zwątpiwszy w celowość kontynuowania akcji oporu rozeszli się do domów.



JAN HUSZCZA

Moje pół grosza

Dwa artykuły o problemach życia kulturalnego w naszym mieście to już coś. Może wywołają szerszą dyskusję? Oby rzeczową i bez kłajstrowania.

Wiesław Jazdżyński za Janem Koprowskim „przypomniał nam niedobre praktyki, wyraźnie manifestujące illo tempore niechęć do twórców ze strony poszczególnych kierowników naszego łódzkiego podwórka” w tym celu, żeby to się nie powtarzało. Słusznie. Co innego rozsądna krytyka, a co innego z góry powzięta

niechęć, której tu się nie raz doświadczało. Ostatecznie nie mieszkam w Łodzi od 1945 roku i coś niecoś pamiętam, pamięta to zwłaszcza mój system nerwowy.

Ale... Oto niedawno odbył się VI festiwal poezji. Miejscowi poeci zostali potraktowani jako coś nieporównanie gorszego niż goście. Ci, którzy nie zgodzili się wziąć bezpłatnie udziału w płatnych spotkaniach gości z lodzianami, zostali pozbawieni możliwości rozmów i kontaktów z przyjezdnymi, tak

ważnych. A były one możliwe tylko w czasie wspólnych posiłków. Pozbawiono ich nawet festiwalowych wydawnictw! Niechby było to wszystko dla dyskryminowanych do nabycia za pieniądze. Bardzo chciałbym czuć się pełnoprawnym uczestnikiem festiwalu! Rozumiem bezpłatne wystąpienia na jakiś cel społeczny (występowałem wiele razy), ale w omawianym wypadku argumentowano to tym, że zabrakło pieniędzy dla kilkunastu poetów — „tubyleców”.

Gdzie indziej wszelkie zjazdy literackie wykorzystuje się dla wyeksponowania właśnie miejscowych środowisk, tu wykorzystano dla ich dyskryminacji. A pieniądze? Trzeci dzień festiwalu był wręcz żalony; był po prostu niepotrzebny; zamiast dyskusji były wystąpienia nie mające nic wspólnego ze sprawami literatury; na sali siedzieli zaledwie kilkadziesiąt osób; nawet prezydium było zdekompletowane. Festiwal wraz z turniejem jednego wiersza łatwo dałoby się zmieścić w dwóch dniach. Takie skondensowanie zao-

szczędziłoby ... tysięcy złotych.

Gorszyli się lub dziwili stosunkowi do miejscowych poetów sami goście. Kto za to jest odpowiedzialny? Organizatorzy, czyli Wydział Kultury i zarząd łódzkiego oddziału ZLP.

Potraktujmy jednak te bardzo przykre sprawy jako margines. Chodzi o same festiwale. Odegrały dużą rolę, choć wiele wydaje się na nie pieniędzy, gdyby wydatki podzielić przez ich uczestników nie związanych bezpośrednio z imprezą, na każdego z nich przypadłby pokazna kwota. Ale w kulturze wiele spraw jest niewymiernych: czasem trzydziestu uczestników ma większą wagę niż stu, tysięcy czy dwa tysiące czytelników więcej znaczy niż dziesięć tysięcy, jedna książka ma większą wartość niż dwadzieścia, jeden numer pisma więcej znaczy niż kilkanaście itd...

Otóż nasze festiwale wymagają gruntownej reorganizacji. Trudna to konkurencja. Festiwali poetyckich w kraju jest bardzo wiele. Za wiele. Mimo iż niektórzy z nas byli intruzami — „tubylcami”, trzeba myśleć o

sprawach w szerszych kategoriach. Boli mnie np. fakt, że „Życie Literackie” — a Kraków był nieźle — w Łodzi reprezentowany — pokwitowało festiwal notatką z kilkunastu słów, wymieniając zaledwie laureatów — autorów książek. Pisma warszawskie — „Kultura” i „Współczesność” — festiwali właściwie nie zauważyły.

Cóż, już ubiegłoroczny festiwal stanowią jakiś sygnał ostrzegawczy. Ośmieliłem się napisać o nim („Osnowa”, jesień 1970) w sposób m. in. następujący: „...Napisałem o festiwalu trochę złośliwie, ale z pewnym zamiarem: idąc na te festiwale duże pieniądze w mieście, które nie ma ich na skromne choćby nagrody artystyczne, więc poważnie trzeba się zastanowić nad reorganizacją festiwali: w miejscowym tygodniku „Odgłosy” na temat festiwalu pojawił się entuzjastyczno-bałwochwalczy artykuł pt. „Rzecz niepospolita”.

Byczojestym jest najgorszą przystągą, jaką można wyrzucić życiu artystycznemu. (Zresztą i każdej innej dziedzinie!) Mając to na uwadze, wypada w naszym życiu kulta-

ralnym odnotować z uznaniem fakt dosyć rzadki: ostrą dyskusję, jaka miała miejsce w „Dzienniku Łódzkim” na temat działalności naszych teatrów...”

Wydaje mi się, że przed następnym festiwalem nad jego sprawami trzeba w kompetentnym gronie poważnie się zastanowić.

I, przy żadnej okazji, nie dyskryminować „tubyleców”! Bo dyskryminować tzn. dezintegrować wysiłki, zniechęcać i rozgoryczać ludzi. Tak zwana atmosfera jest bowiem sprawą szczególnie ważną! Dobrze więc, że Jan Koprowski i Wiesław Jazdżyński sprawy łódzkiego życia kulturalnego w szerszym ujęciu podjęli.

PS. Zwracam się z prośbą do Organizatorów Festiwalu o przesłanie mi festiwalowych wydawnictw za zaliczeniem pocztowym. Jako cztowiekowi od lat na dziesiątki sposobów związanemu z życiem tego miasta, bardzo mi na nich zależy. Tym bardziej, że wielu zaproszonych nie przyjechało i wszystkie było za dużo. Z góry dziękuję!

J. H.

Stanisław Z., 57-letni mieszkaniec Mianowa (pow. łódzki), wrócił 5 kwietnia 1970 r. o godzinie 22 z sąsiedniej wsi do domu. Szedł przez las. Tędy wiedzie droga do miejsca jego zamieszkania. Samotny powrót przerwał spotkanie nadchodzących z przeciwka mężczyzn. Było ich czterech...

Ty, cholero, postawisz dzisiaj pół litra — powiedział jeden z nich do S. Z. i uderzył go pięścią w twarz. Potem podskoczył drugi. Bill. Stanisław Z. przewrócił się. Bill dalej. Podniósł się jeszcze. Znowu ciosy. Kiedy upadł kolejny raz — stracił przytomność... Potem usłyszał jak przez mgłę jakieś głosy, a wśród nich głos żony... Znowu stracił przytomność.

Około godziny 3-ciej w nocy — 6 kwietnia — żona St. Z. usłyszała łomotanie do drzwi. Obudzona hałasem wstała, aby otworzyć: trzech młodych, nie znanych jej ludzi informowało, że w lesie, na drodze pomiędzy Mianowem a Oleśnicą leży jej mąż. Jest cały zakrwawiony, prawdopodobnie pobity. Kobieta ubrała się i razem z mężczyznami poszła do remizy strażackiej, prosząc strażaków o zaprzęgnięcie konia. Pojechali do lasu. Znalezione rannego w tragicznym stanie. Kobieta zrobiła się słabo. Rannego ułożono na wozie. Przywieźli go do Mianowa. Tam zaprzęgnięto drugiego konia i wóz z rannym pojechał do Puczniewa. Stamtąd zabrala go karetka pogotowia do szpitala w Zgierzcu. W szpitalu stwierdzono: pęknięcie żuchwy, złamanie kości nosowej, złamanie żeber, wstrząs mózgu i liczne ogólne potłuczenia...

Zabawa w remizie strażackiej w Mianowie skończyła się o godz. 2-giej. Około 3-ciej nad ranem strażacy jeszcze tam byli, bo sporządzali finansowy bilans. Wówczas przyszli trzej młodzieńcy i poinformowali pograżonych w rachunkach, że w lesie leży pobity człowiek. Strażacy zadzwonili po pogotowie, a młodzieńcy poszli zawiadomić żonę.

Zabawa skończyła się o godz. 2-giej w nocy z 5 na 6 kwietnia. Adam Gawłowski tego dnia pił wódkę dość wcześnie. Matka miała w domu „święteczną”, więc postawiła jemu i jego kolegom. Poszli na zabawę. Tam wypili po piwie, a potem znowu wódkę. Wyszli. Znowu wrócili i pili dalej. Wreszcie mieli dość. Opuścili remizę. Gawłowski wstał do wujka po pozostawiony tam rower i dogonił kolegów. Na leśnej drodze właśnie mijali St. Z. Gawłowski poznał go. Byli dalekimi krewnymi.

W śledztwie nie zeznał, że on pierwszy uderzył. Twierdził, że pierwszy uderzył Pietrasik. On bił potem... W śledztwie zeznał: „Uważałem, że uderzając go kilkakrotnie ręką i kopiąc w plecy i pośladki, nie wyrządziłem mu dużej krzywdy”...

Pietrasik znał St. Z. od trzech lat. W śledztwie zeznał: „Uderzyłem bo namawiał Gawłowski, nie byłem pijany, wiedziałem, co robię, robiłem to, bo to robił Gawłowski. W trakcie drogi do domu pomyślałem, że z St. Z. może być źle, ale nie miałem zamiaru wzywać pogotowia, ani też kogoś zawiadomić. Nie wróciłem udzielić pomocy, bo inni nie wrócili. Każdy uciekał, żeby się nie

wydało. Uważam, że źle zrobiłem, wstydzę się ludzi w miejscu zamieszkania...”

Wrócił do domu. Ze spokojem upił w Ixi zakrwawione rękawy koszuli w letniej wodzie i położył się spać...

Kazimierz Wrzesiński około godz. 21 zjawił się na zabawie w Mianowie. Przedtem pił wino i piwo z kolegami, z którymi razem poszedł na zabawę. Tam pił wódkę. Upił się. Spał w bufecie. Kiedy się obudził, nikogo ze znajomych nie było już na sali. Wyszedł. Droga przez las szedł do Oleśnicy i na drodze spotkał kolegów. Wszyscy byli pijani. Razem z nimi stały dziewczyny. Stali nad leżącym człowiekiem. Zawołali go: „Chodź, zobacz pobitego”. Leżący człowiek usiłował podnieść

ZOFIA TARNOWSKA

ACH, CO TO BYŁ ZA BAL!

twarz, kiedy uderzyło go w oczy światło elektrycznej latarki. To Wrzesiński podszedł i oświetlił leżącego. Potem kopnął go z całej siły w twarz!... Głowa opadła w śnieg...

W śledztwie zeznał, że nie pamięta, bo był pijany, ale dziewczyny mówiły mu następnego dnia, że kopnął leżącego. Do domu wrócił około 4-tej nad ranem. Dlaczego kopnął? Nie umiał odpowiedzieć, ale stwierdził, że zrobił to tylko dlatego, że był pijany i sam nie wiedział, co robi. Stanisława Z. znał i żadnej urazy do niego nie miał. W śledztwie powiedział jeszcze: „Ja mogę patrzeć na pokrwawionego, to nie robi na mnie żadnego wrażenia. Nie mam żadnych wyrzutów sumienia, ale teraz będę się wstydził na wsi, że zamiast udzielić pomocy, kopnąłem go jeszcze”...

Prokurator zażądał umiarkowanych kar. Sąd wydał wyrok: nieco wyższe od prokuratorskich wymagań: Pietrasik i Gawłowski skazani zostali na cztery lata pozbawienia wolności każdy. Wrzesiński na 2,5 roku. Wszyscy pozostali pozbawieni praw publicznych na 3 lata. Sąd orzekł także po 3 tysiące zł od każdego na rzecz poszkodowanego oraz zalecił obwieszczenie wyroku w miejscu zamieszkania skazanych.

Obrona podniosła alarm. Obrona zresztą w sposób zgodny z przepisami kodeksu karnego rozdzielała i przydzielała, a raczej odbierała ciosy swoim klientom. To jest przepiękna gra, w której stawka jest wytargowanie jak najmniejszej kary, jeżeli nie uniewinnienia. Nie wiadomo bowiem, który cios i czyj cios doprowadził do tego, że człowiek został kaleką na całe życie. Nie skutek jest argumentem. Wyważa się siłę uderzenia, rozmiar buta, tworzy-

wo zelówki, kształt noska, którym bestia kopnęła leżącego. Prawo w kilku wersjach określa zamiar, udział, skutki. I jeżeli nie są jednoznaczne — sumuje wszystko do jednego worka niewiadomej, bo jeżeli coś nie jest absolutnie pewne — pisze się na korzyść oskarżonych.

Niedawno toczyła się przed Sądem Wojewódzkim dla województwa łódzkiego wstrząsająca rozprawa. Na ławie oskarżonych znalazło się czterech młodych ludzi z dwóch sąsiadujących wsi pow. kutnowskiego. Wszyscy byli uczestnikami zabawy wiejskiej, która miała miejsce w remizie strażackiej w Strzegocinie. Wszyscy pili wódkę — przed zabawą — dla kurażu i w czasie zabawy. I wszyscy czterej poczuli się „nieodpowiedzialni”. Po skończonej zabawie 20-

letni Jan Simiński, galvanizator z Zakładów Podzespołów Radiowych w Kutnie, Józef Pijanowski, 19-letni pracownik Przedsiębiorstwa Robót Kolejowych w tym samym mieście (mieszkał wsi Strzegocin i Julinek). 22-letni Andrzej Janczerowicz, pracownik rolny w gospodarstwie rodziców i 17-letni Andrzej Karzewski, syn kościelnego (bawił się razem z rodzicami) zaczęli uczenia szkoły muzycznej z Kutna, który czekał po zabawie na kolegów z ze-

spółu orkiestry, i przez trzy godziny (Karzewski brał udział tylko w pierwszej fazie wydarzenia — zaprzęgnięcia i wstępnego bicia) wędli go przez swoją drogą krzyżową, maltretując go zbójce. Zapowiedzieli mu, że „będzie miał z nimi gorzej niż z hitlerowcami” i z całą promedytacją spełnili swe zamiary. Wiedli go przez cmentarz, gdzie kazali się rozebrać (kilkakrotnie), wchodzić do grobów, wyciągać kości, wchodzić na krzyże grobowców, wykonywać czyny nierządne — wszystko pod groźbą zabicia. Potem powiedli go do lasu, kazali się zciągnąć przez ciachy przepływ mostku, biegać skostniałemu (19 października) dla rozgrzewki, żeby mógł wreszcie wejść na drzewo i powiesić się — bo taki mu koniec zgotowali. Nie mógł wejść na drzewo, ale powiesił się przed sądem, że gdyby mu się udało, powiesiłby się, nie wytrzymał już katuszy. Biegając zmylił czujność oprawców, wpadł w gąszcz i zemknął. Nad ranem doszedł do pobliskiego domostwa (cała rzecz działa się w nocy) i tam pozwolono mu przenocować na sienniku. Obudził się koło tapczanu, na którym spał... jeden z jego prześladowców.

Kary były wysokie, sprawiedliwe, ostrzegające. Nie o kary mi jednak chodzi...

23 listopada ub. roku odbywała się huczna zabawa w... remizie strażackiej we wsi Wojsławice (pow. Sieradz). Cały świat Wojsławic brał w niej udział. Wozownie przerobiono doraźnie na bufet, alkoholu sprządzono całą masę, oranzady do popijania też niemało. OSP świadczyła usługi kulturalno-rozrywkowe swej wsi.

Na zabawie pojawił się znany awanturnik, pijak, Stanisław Juszcak, 38-letni pracownik Zduńskowolskiego Przedsiębiorstwa Robót Inżynierskich. Pił zdrowo. Pili wszyscy dużo. Ten jednak nie tylko pił. Chodził i „rozbrajał”. Wreszcie, kiedy zabrakło pieniędzy na wódkę, a pożyczyc nie miał kto — wyjął nóż fiński i laził z nim od jednego

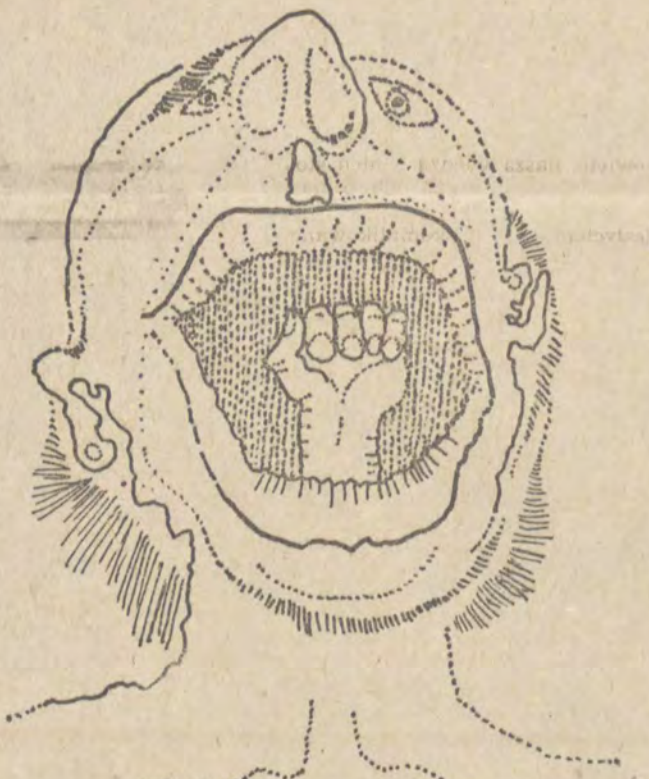
do drugiego „kumpla”, zapowiadając: że ten nóż utopi komuś. No i utopił. Ze skutkiem śmiertelnym. Ofiarą padł 22-letni pracownik Kółka Rolniczego. Kiedy stwierdzono, że jest już trup — orkiestra przestała grać. Zabawa się skończyła. Ojciec zabitego, poinformowany o morderstwie dokonany na synu — zawiadomił milicję. Ojciec. Nikt z uczestników zabawy.

Trzeba było posłuchać świadków, zeznających przed sądem. Zabawa była dla wszystkich okazją do zalewania się „w trupa”. W tym — jak na wszystkich tego rodzaju zabawach — tkwi ich sens i cel. Nikt więc nie był na tyle przytomny, żeby obezwładnić groźącego awanturnika, odebrać mu nóż, nie dopuścić do dramatu. Bali się go podobno. Ponad trzydziestu świadków kręciło się przed Wysokim Sądem w postawie obronnej. Po trzeźwemu czuli widocznie, że moralna strona odpowiedzialności za morderstwo spada na każdego z nich. Albo nie nie czuli. Krew na zabawie jest zwykłą rzeczą. Trup — trochę rzadszą. Na zabawach w ekspozyturach kultury i oświaty, jakimi są podobno remizy strażackie, zalać wia się zwykle różne wydumane i rzeczywiście porachunki. Alkohol jest katalizatorem w procesach niejawnych, zachodzących w stosunkach międzyludzkich. W miarę kumulowania się coraz większej ilości promili alkoholu we krwi — rosną proporcjonalnie: animusz, pretensje, żale — stare i nowe formułowane, sąsiedzkie i okazyjne — wynikające w trakcie zabawy.

Nie wszystkie porachunki zalać wia się natychmiast na zabawie, nie cały animusz ma warunki do wykipienia. Zapas alkoholowej energii wynosi się z zabawy i — jak w pierwszych wypadkach opisano — osiłki o zachwianej równowadze psychicznej i fizycznej szukają okazji do wyładowania się: na słabszych, spokojnych, spotkanych przypadkowo. I biją, rąbią i siekają — aż do skutku, aż ofiary padają bez przytomności...

Wypadki tu opisane nie wyczerpują listy przestępstw rodzących się na zabawach wiejskich. Od wielu lat trwa ten ciąg, a przerwać go nie można. Organizatorzy zabaw — najczęściej OSP, a często aktywni inżynierzy organizacji społecznych i młodzieżowych — nie gwarantują zabawom żadnego bezpieczeństwa i porządku, żadnej ochrony indywidualnej — na zabawie i po zabawie. I chociaż cały problem skupia się w soczewce sąsiedzkich, w szpitalach i na cmentarzach, nikt nie wyciąga radykalnych wniosków. Jaki cel mają te zabawy? Zdobyć pieniądze na „szczytne zamiary”. W myśl zasady „cel uświęca środki”? Dlaczego wydaje się zezwolenia na zabawy taneczne z wyszynkiem alkoholu, bez sprawdzenia gwarancji porządku na takiej zabawie? Kto ma tak wiele zaufania do organizatorów? Na jakiej podstawie? Dlaczego nie pociągają się organizatorów do odpowiedzialności za tragiczne skutki zabaw? Jak długo mamy tolerować ten stan rzeczy? Czy nie powinna tu wkroczyć Generalna Prokuratura PRL i prześwietlić terenowy stan sił ochrony porządku? Może ich autorytet też leży pijany pod bufetami w wozowniach?

Zabójca z zabawy wojsławickiej skazany został na 25 lat pozbawienia wolności. Proces odbywał się w Sieradzu ku użytkowi całej okolicy.



Rys. L. Woźnicki

BOMBA W GÓRĘ

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Tu należy się jednak małe wyjaśnienie: wbrew powszechnym przypuszczeniom instytucji i urzędy były tylko fundatorami tych nagród, natomiast w zatwierdzeniu ich ostatecznie słowo należało do jurorów. Ktoś powie: to zwykła formalność. Otóż — nie! Presja jurorów była większa, niż się komuś może zdawać. I dzięki temu wydarzył się mały skandal...

„Bomba w górę”. Piosenka ta, napisana przez Młynarskiego i Suchockiego, a wykonywana przez Jaremę Stępowską została wraz z interpretatorem

wyróżniona ufundowaną przez redakcję „Szpilek” nagrodą „Złotej Szpilki”. Kiedy dowiedział się o tym (po fakcie), przedstawiciel „Szpilek” — zaprotestował, twierdząc, że redakcja miała na myśli tekst i piosenkę o walorach satyrycznych, że dużo właściwsze byłoby przyznanie tej nagrody — alternatywnie — Tadeuszowi Chyle za „Cherubinów” („Kiedy się pomodlisz do nich złewaniem, to nuda niebotyczna nastanie...”) lub Maciejowi Zembatemu za pogrzebową makabreskę („Ubogim krewnym trumna wrzyna się w ramiona i już ledwo idzie żona...”). Jury nie zgodziło się jednak, wbrew logicz-

nej motywacji przedstawiciela, na zrewidowanie swojej decyzji. Wobec tego przedstawiciel zamówił rozmowę z Warszawą i po krótkiej naradzie „Szpilek” postanowiły wycofać nagrodę. Powiadomiono nas o tym na konferencji prasowej. Wydawało się, że problem, ku obopólnemu niezadowoleniu, został definitywnie rozwiązany. Ale jurorzy nie dali za wygraną i w niedzielnym „Życiu Warszawy” przeczytałem, że ostatecznie zatriumfował Jarema: otrzymał „Złotą Szpilkę”, która — jak należy przypuszczać — może go w niedalekiej przyszłości boleśnie ukłuć...

Zaciekły upór jurorów przejawiał się również w innej sprawie. Otóż na dwa tygodnie przed Festiwalom zgłosiło swoją nagrodę dla piosenkarza o wybitnych walorach estradowych Stowarzyszenie Muzyki Estradowej. Nagroda ta została przyjęta do ogólnej puli i komunikat o niej ukazał się drukiem w Gazecie Festiwalowej, która tego roku zastąpiła biuletyn i można ją było nabyć bez trudu w każdym kiosku. Prezes Stowarzyszenia, a było to w sobotę rano ostatniego dnia Festiwalu, postanowił wręczyć tę na-

godę poszkodowanemu przez jurorów Cwynarowi lub nie mniej poszkodowanej przez jurorów Sońnickej. Organizatorzy wspaniałomyślnie zgodzili się przyjąć pieniądze i list przewodni, motywujący wybór jednej z tych kandydatur, stanowczo natomiast sprzeciwili się, aby o nagrodzie tej mówiono w oficjalnym komunikacie, czy też w czasie koncertu laureatów.

— Dlaczego? — pytał zdziwiony prezes.

— Bo weszłoby z tego wielki mętlik. Pan Kydryński ma już napisaną konferansjerkę i nie będzie jej zmieniał.

Prezes nie dał się jednak zwieść pozorom. Wiedział, że dla tej klasy prezentera, co Kydryński, wplecenie jednego zdania na temat nagrody jest zupełną blahostką. Tu muszą być inne przyczyny — pomyślał. I postanowił przyznać nagrodę Halinie Kunickiej, trzeciej z kolei pominiętej przez jurorów piosenkarce. Ponieważ jest ona żoną Kydryńskiego, miał potężny pretekst, aby rozmówić się z tym ostatnim, no i szybko doszło do porozumienia... A przecież wieczorem przed koncertem pan Kydryński musiał się wy-

cofać. Jakaś czwarta siła nie dopuściła do ogłoszenia tej nagrody. Świadczy to niezbicie o tym, że w naszym przemyśle rozrywkowym w dalszym ciągu mamy do czynienia z monopolem.

2.

Pisałem w pierwszej części o rzeczach smutnych, więc drugą część przeznaczam na rzeczy tragiczne.

Dwie rozmawiające w kuluarach piosenkarki przerzuciły się uwagami na temat trzeciej, która akurat wychodziła na scenę z posępnym wyrazem twarzy i dramatycznie zalanymi rękami.

— Ale ona chuda.

— Strasznie. Normalna decha.

— Wiesz, jedyna rzecz, którą ona ma tłusta, to włosy.

— Ha, ha, ha!

— He, he!

Tak oto ludzie wyszydają wszelkie przypadłości.

Za kulami szerokie kręgi zataczała hłobowa wieść o wypadku, któremu uległ w piątek dyrektor Estrady Łódzkiej. Było to zderzenie czelowe jego wozu z jakimś „Syranką”.

SPRAWY SZKIEŁ KONTAKTOWYCH CIĄG DALSZY

Pismo Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej

Redakcja Tygodnika Społeczno-Kulturalnego
„Odgłosy”

W związku z artykułem pt. „Optyk i zaćma”, zamieszczonym w numerze 20 (704) z dnia 16.V.br. Departament Profilaktyki i Lecznictwa wyjaśnia, że sprawa produkcji szkielek kontaktowych jest zagadnieniem bardzo ważnym, gdyż niezbędne są one dla szeregu chorych, znajdujących się pod opieką placówek służby zdrowia. Z tego też tytułu Departament Profilaktyki i Lecznictwa podjął szereg kroków, mających na celu wyjaśnienie sytuacji i spowodowanie rozwiązania tego zagadnienia, jak: interwencja w Spółdzielni Lekarzy Specjalistów w Łodzi i w Centralnym Związku Spółdzielczości Pracy, wystąpienie o szukanie innych dróg rozwiązania tego problemu przez Foto-Optykę, itp.

W wyniku tych poczynań Spółdzielnia Lekarzy Specjalistów w Łodzi, zgodnie z informacją Centralnego Związku Spółdzielczości Pracy ma zamiar wyszkolić kilku absolwentów Technikum Optycznego i wznowić produkcję szkielek kontaktowych. Poza tym czynione są starania, zarówno przez Ministerstwo, jak i przez Foto-Optykę o rozwiązanie tego problemu w drodze produkcji zastępczej.

Sprawa zapewnienia produkcji szkielek kontaktowych przez spółdzielczość leży w gestii Centralnego Związku Spółdzielczości Pracy. Instytucja ta może również udzielić szczegółowych wyjaśnień odnośnie przyczyn wstrzymania tej produkcji.

Zgodnie z informacją otrzymaną w dniu 19.VI.71 r. z Centralnego Związku Spółdzielczości Pracy, Spółdzielnia w Łodzi podjęła ponownie produkcję szkielek kontaktowych.

WICEDYREKTOR
DEPARTAMENTU PROFILAKTYKI I LECZNICTWA
(-) FELIKS OŁĘDZKI
LEKARZ

PISMO SPÓŁDZIELNI LEKARZY SPECJALISTÓW

Redaktor Naczelny
Tygodnika Społeczno-Kulturalnego
„Odgłosy”

W związku z artykułem pt. „Optyk i zaćma”, jaki napisał Pan Karol Badziak w Waszym poczynym tygodniku z dn. 16.V.1971 r. Zarząd Spółdzielni Lekarzy Specjalistów czuje się w obowiązku wyjaśnić treść niektórych sformułowań (a nie faktów) przytoczonych przez autora. Jakkolwiek autor w swym artykule pisząc od pewnego miejsca o naszej Spółdzielni użył sloganu „przepisy rzecz święta” w dalszej jego części zapomniał o tym i w sposób tendencyjny, a krzywdzący naszą Spółdzielnię przedstawia fakty, które wymagają obiektywnego naświetlenia.

Z artykułu wynika, że mimo jego tendencyjności Zarząd naszej Spółdzielni szukał różnych rozwiązań umożliwiających dalsze zatrudnienie Ob. M. Borchardta, jednak na skutek jego nieprzejednanej woli całkowitej niezależności, sprawy tej nie mogliśmy załatwić. Że podane wyżej nasze sformułowanie jest faktem, niech świadczy cytat z Waszego artykułu, podany jako wypowiedź Ob. M. Borchardta: „Całe życie byłem niezależny, pracowałem samodzielnie, już jestem za stary, aby uczyć się posłuszeństwa wobec szefów” — koniec cytatu.

Widać więc, że Ob. Borchardt nie zamierzał i nie zamierza uznawać żadnej dyscypliny społecznej nawet w tak okrojonym zakresie, jaki proponowała Spółdzielnia.

Nasunąć się może pytanie: „jak było dotychczas i dlaczego powstał konflikt?” Plik wszelkiego rodzaju listów — zamówień adresowanych do Ob. M. Borchardta, które są w posiadaniu Zarządu Spółdzielni, spowodował, że musieliśmy ujawnić wobec zainteresowanego, „Jego podwójną grę wobec Spółdzielni”, a polegającą na tym, że wykonywał on usługi nieewidencjonowane dla Spółdzielni,

wśród których były i takie, za które pacjenci żądali od Spółdzielni rachunku (celem otrzymania zwrotu kosztów z Wydziałów Zdrowia Rad Narodowych).

Stwierdzenie wielu takich faktów spowodowało przeprowadzenie najpierw wielu rozmów z Ob. M. Borchardtem w obecności lekarzy specjalistów, zatrudnionych w Spółdzielni (a nie tylko z administracją Spółdzielni), podczas których nakłanialiśmy w/w do zaniechania tego procederu.

Jednocześnie oferowaliśmy Ob. M. Borchardtowi otwarcie specjalistycznego gabinetu, w którym mógłby w warunkach wręcz komfortowych prowadzić swą działalność, na co otrzymaliśmy kontrproponycję uruchomienia 2-ch lokali, w których Ob. Borchardt pracowałby raz dla Spółdzielni, a 2-gi raz dla siebie.

Proponycja ta chyba nie wymaga komentarzy, a jako dalszą ciekawostkę do niej można dodać, że jesteśmy w posiadaniu skargi pacjenta, w której podaje on, że na skutek antyosanitarnych warunków obecnego warsztatu otrzymane szkła kontaktowe spowodowały u niego zapalenie spojówek.

W pełnej świadomości społecznych potrzeb na przedmiotową usługę, nie mającą sobie z punktu widzenia ludzkiego — równej, potraktowaliśmy jako administracja i lekarze zatrudnieni w Spółdzielni z dziwnymi poglądami Ob. Borchardta.

Stąd też dotknął nas tendencyjny artykuł, zamieszczony w Waszym poczynym piśmie, w którym podejrzenie nas o działalność na szkodę społeczną i w którym znajduje pokrycie dewiza, że jeżeli fakty są inne, to tym gorzej dla faktów.

A że tak jest, świadczą dokumenty powstałe w obecności wielu osób, w tym i Ob. M. Borchardta, jak również dokumenty obrazujące zakup opakowań na soczewki dla Ob. M. Borchardta, o czym w sposób uwłaczający rzetelności informacji pisze Pan Karol Badziak.

Zdaniem naszym temat podjęty przez Pana K. Badziaka był dla niego za trudny i jak zauważyliśmy, wykazuje on doskonałą znajomość zagadnień sportowych, porównując problem społeczny zdrowia ludzkiego z niewątpliwym problemem społecznym, jakim jest piłka nożna.

Kończąc, pragniemy poinformować, że słowo zaćma nie będzie aktualne na terenie naszego miasta i chyba kraju, gdyż dzięki staraniom udało nam się zatrudnić innego fachowca, który zapewne chce być niezależnym w życiu prywatnym, a potrafi być zdyscyplinowanym w społeczeństwie.

Podając powyższe mamy nadzieję, że Redakcja nie odmówi nam prawa obrony przed napastliwością i niniejsze wyjaśnienie ujrzy światło dzienne natchytnie, bądź też po sprawdzeniu podanych przez nas faktów.

Członek Zarządu

(-) DR STANISŁAW HERDER

Prezes Zarządu

(-) ZOFIA KARBOWSKA

Dopiero po ukazaniu się mojego artykułu w Waszym tygodniku, w którym został opisany konflikt między Spółdzielnią a Ob. M. Borchardtem, Zarząd Spółdzielni wysunął wobec M. Borchardta zarzut natury moralnej. Przedtem była cały czas mowa, że nie może on być członkiem Spółdzielni z powodów formalno-prawnych. Ponieważ zarzut o „podwójnej” grze optyka ma charakter insynuacji, więc tylko sam zainteresowany jest w stanie go odeprzeć, co mam nadzieję uczyni. W tej sprawie wiadomo mi jest tylko, że podczas spotkania członków Zarządu Spółdzielni z Marianem Borchardtem w



nia dysponuje tylko jedną skargą pacjenta. Przecież to nie zarzut, a pochwała. Doskonale rozumiem, że w obronie swego stanowiska i urażonej ambicji kierownictwo Spółdzielni usiłuje wykorzystać wszelkie potknięcia Mariana Borchardta, ale przekracza przy tym pewne poprawne normy w argumentacji. Myli na przykład pojęcie dyscypliny spo-

łecznej z dyscypliną administracyjną. Rzecz polega na tym, że można mieć nawet wstręt do dyscypliny administracyjnej, a być obywatelom wyjątkowo zdyscyplinowanym społecznie.

Jeśli idzie natomiast o złośliwość pod moim adresem, to wielokrotnie rezygnuję z przysługującego mi prawa rewanżu.

KAROL BADZIAK

Listy do redakcji

Mój syn jest po operacji zaćmy prawego oka. Operowany był przez prof. Krwawicę w Lublinie kilka lat temu. Zdolność widzenia oka lewego jest bardzo duża i bez szkła, praktycznie biorąc jest ono mało przydatne, a z kolei noszenie okularów o tak dużej rozpiętości również nie jest możliwe. Pozostało więc jako jedyne wyjście, szkło kontaktowe.

Przed 4-ma laty nawiązałam kontakt (na zlecenie lekarzy) z optykiem panem Marianem Borchardtem i po pewnym okresie otrzymałam dla syna szkło kontaktowe, które w dużym stopniu przywróciło zdolność widzenia.

Przyuczanie do szkła kontaktowego było dla wówczas 12-letniego chłopca dość trudne i kłopotliwe i pan Borchardt w tym krytycznym dla mego syna okresie poświęcił nam wiele czasu, cierpliwości i troski. Robił to zupełnie bezinteresownie — poza odpłatnością za szkło kontaktowe, na które wystawił rachunek, który był pokryty przez Wydział Zdrowia Łódź Bałuty, nie pobierał żadnych dodatkowych opłat za udzieloną pomoc i porady w okresie przyuczania. Obecnie szkło kontaktowe uległo uszkodzeniu — konieczna jest naprawa, względnie wymiana na nowe. Pan Borchardt jednak — mimo całej przychylności — kategorycznie odmówił przyjęcia nam z pomocą, ponieważ w międzyczasie pozbawiony został uprawnień w tym zakresie — podobno brak odpowiednich przepisów prawnych.

Jestem pełna szacunku dla przepisów i norm prawnych, regulujących stosunki między ludzkie, nie mogę jednak zgodzić się z przepisami zabraniającymi przychodzić ludziom z pomocą i przynosić ulgę w ich nieszczęściu. Nie znam podobnie, którymi kierują się osoby rzekomo stojące na straży przepisów, a tracące z oczu człowieka i jego potrzeby. Nie obchodzi mnie zakulisowe

rogrzywki pomiędzy Spółdzielnią, Izłą Rzemieślniczą i innymi instytucjami — wiem jednak — gdyby chodziło o zdrowie ich dziecka, to na pewno każda z tych osób znalazłaby wyjście z sytuacji. Nie mam możliwości wywiezienia dziecka na dalsze leczenie zagranicę. Leczenie trwa już 13 lat i nie mogę tego zaprzepaścić. Moje dziecko bardzo pilnie potrzebuje szkła kontaktowe i mnie jako matkę strona formalno-prawna tego zagadnienia zupełnie nie interesuje.

Oburza mnie natomiast bezduszność i obojętność miarodajnych czynników, czy osób, które dla ambicjonalnych rozgrywek pozbawiają ludzi pomocy, często stanowiącej o ich dalszych losach i całej karierze życiowej.

Muszę jednocześnie dodać, że na przestrzeni 13 lat leczenia dziecka spotykałam się z różnymi formami „niesienia pomocy” czasem było to pospolite wyludzenie pieniędzy. W przypadku pana Borchardta — stwierdzam to z dużym naciskiem — nigdy nie stawiana była kwestia materialna. Cała jego uwaga i wysiłek skierowany był na rzeczywiste przyniesienie ulgi i praktyczne przyżycie z pomocą osobie potrzebującej, co w chwilach nieszczęścia jest ogromnie istotne. Osobiście za tę jego wysoce etyczną postawę i chęć niesienia pomocy żywię dużo przychylności — kategorycznie odmówił przyjęcia nam z pomocą, ponieważ w międzyczasie pozbawiony został uprawnień w tym zakresie — podobno brak odpowiednich przepisów prawnych.

GENOWEFA TURCZYNICZ

— I co on teraz robi z tym gratem? — zapytałem jednego z łódzkich muzyków.
— Ano, jest jeszcze autokar Estrady, więc wezmą go na hol.
— Sam prowadził?
— Sam. To bardzo nieszczęśliwy człowiek.

— Czemu?
— Jakto, czemu? Przecież kilka miesięcy temu też rozbił w drobny mak samochód. I też służbowy.

W tym momencie zrobiło mi się żal całej tej niefartownej łódzkiej instytucji. Raz po raz potyka się na wyboistej drodze, z trudem wiąże koniec z końcem, sprowadzając do miasta drugorzędne zespoły i jeszcze na dobitkę rujnuje w niepotrzebnych wożach swój sprzęt motoryzacyjny.
— Nie wie pan — zapytałem wspomnianego muzyka — po co oni w ogóle tu przyjechali? I to tak licznie, dwoma samochodami...

Muzyk wzruszył ramionami
— Wycieczka krajoznawcza?
— Może...

— Bo inni agenci traktują Festiwal jak giełdę. Pertraktują, kontraktują, pozyskują dla swoich celów czolowych wykonawców.

— Zgadza się. A oni potrafią tylko snuć się z kąta w kąta z tajemniczym wyrazem twarzy.

— I później sprowadzą nam do Łodzi Woźniaka.
— Albo Joannę Rawik.

— I będą płakali, że deficyt, który ich się uczył, jak rzep psiego ogona, zawdzięczają niewyrobionej kulturalnie publiczności, która woli słuchać w domu przy telewizorze lub iść do kina, niż słuchać narajonych przez Estradę tandeciarzy.

— Nie chce pan chyba obrazić Rawikowej i Woźniaka?

— Skąd. To są bardzo godni artyści. Ale chciałem pana zapytać, komu Łódź zawdzięcza kilka udanych imprez rozrywkowych, Estradzie czy Stowarzyszeniu Muzyki Estradowej?

— Stowarzyszenie ma niewątpliwie sukcesy. W ostatnich miesiącach sprowadziło kilka doskonałych zespołów i kilku świetnych wykonawców.
— I podobno nie mają deficytu?

— Podobno.

— I ich administracja zatrudnia tylko osiem osób?

— Coś koło tego...

— Myślę, że jest to zabawny paradoks.

I pomyślałem równocześnie o krę-

tych drózkach, którymi błądzi łódzka kultura. Jednych stać na deficyt i robizanie samochodów, i jeszcze im za to płaca, drudzy — mam tu na uwadze znakomity zespół „Harna-ma” — wyjeżdżają w Polskę na każde żądanie i to nieraz w ramach własnego urlopu i nie mają za to ani grosza, nie licząc niziutkich diet i suchego prowiantu, i mimo bezsprzecznych sukcesów w kraju i za granicą (w Opolu w ramach imprez towarzyszących Festiwalowi, dali pięć plenerowych koncertów dla około dziesięciu tysięcy ludzi, którzy przyjmowali ich entuzjastycznie) — od lat nie mogą wytargować od rodzinnego miasta przyzwoitej sali na próby. Dlaczego? Bo są amatorami. Amator, choćby był lepszy od zawodowca, nie ma prawa do żadnych rozszczeń.

W porządku. Żeby przebić jakoś te czarne nastroje, poszedłem do Biura Prasowego Festiwalu, gdzie w jednym z pomieszczeń Andrzej Kowalewski, przedstawiciel realizatorów „Potopu”, dokonywał naboru kandydatów do roli Oleńki.

Było to wydarzenie tak żałosne, tak głęboko wstrząsające, że moje zrujnowane poprzednimi wydarze-

niami samopoczucie uległo na skutek jakiejś niepojętej reakcji paradoksalnej, gwałtownej poprawie.

Przed stołem, za którym siedział Kowalewski, mając po obu stronach chłopców z flesztami, przedefilowało kilkanaście dziewcząt całkowicie bezkrytycznych, jeśli chodzi o urodę własną, natomiast pełnych jadu, jeśli chodzi o urodę konkurentek. Atmosfera do złudzenia przypominała egzamin wstępny do szkoły zasadniczej, a jeden z zanotowanych przeze mnie dialogów między stronami przedstawiał się tak:

— Jak się pani nazywa?

— Pada poprawna odpowiedź.

— Gdzie pani mieszka?

— Znowu błyskawiczna riposta.

— Wykształcenie?

— Osiem klas.

— To ile pani ma lat?

— Dwadzieścia.

— Dlaczego pani nie kontynuowała nauki?

— Tak mi się, jak raz złożyło, nie. Ale teraz pójdę do wieczorówki, bo uczyć się trzeba, nie... A w powstaniu, to grałam, jak to się mówi, w różnych teatrach, różne wiersze deklamowałam, nie... I w ogóle uprawiam sport...

— Jak?

— Każdy.

— Jak, każdy?

— Zupnie każdy.

— Boks też?

— Eee. Najbardziej to piłkę, nie...

— A „Potop” pani czytała?

— Nie.

— Dogoniłem tę dziewczynę na ulicy.

— Parę pytań — powiedziałem.

— A skąd pan jest?

— Z prasy. W jakim celu przyjechała pani do Łódzi?

— Na Festiwal.

— Żeby słuchać?

— Też. I żeby śpiewać. Jak by się znalazł jakiś cichy kątek, to bym panu zaśpiewała. Bo ja najpierw chciałam zostać piosenkarką, nie... No, ale teraz, to się cieszę, że pójdę do filmu, bo artyści w gruncie rzeczy lepiej mają... Pięknie w tym Opolu, nie?...

— Przytaknąłem.

Bo rzeczywiście było pięknie. Sam Festiwal też w końcu wypadł jako tako. Złośliwi twierdzą, że był średni: a więc gorszy wprawdzie od tego, który był w roku 1970, ale za to lepszy od tego, który będzie w roku 1972.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Czytałem młodzieńcze próby Żeromskiego, jego pierwsze utwory, czytałem wszystko na temat młodości pisarza i chyba dlatego szukałem Kingi po ulicach miasta, jak on Ludwini. Nie chciałem i nie widywałem Kingi, w wyimaginowanych pejzażach, nie sniły mi się kurbany, ani wierzyby płaczki, miałem dość świętokrzyskich uroczysk do dyspozycji. W moich wyobrażeniach Kinga śladywała na zaniedbanym kamieniu Biruty, spoglądała ku miastu z klasztorowego wzgórza nazywanego Karczówką, młczła wieczorami nad Wierną Rzeką, zbierała kwiaty w dolinie Lubrzanki, a jesienią — kiedy padały smętne deszcze — chodziła na spaceru w stronę starych cmentarzy. Szła pośród wirujących liści kasztanów, a za nią moje prywatne melancholie. Wiosną widywałem Kingę na brzegach Puszczy Jodłowej, błądziła po rozległych łąkach, które ciągną się wzdłuż Czarnej Wody, wędrowała przez Miejską Górę ku Boddzentyńowi, a za nią moje nadzieje.

Wmawiałem sobie — spotkam ją dziś, w starym parku nad stawem, ale nie spotykałem Kingi. Bywało, biegłem z parku na drugi koniec miasta pewien, że wreszcie ją znajdę. Nie znajdowałem. Zaglądałem do sklepów, na pocztę, snułem się po dworcu kolejowym, witałem nieznanne pociągi sądząc, że wróci którymś, wędrowałem niezmordowanie ulicami miasta, zapominając o regulacji konspiracji. Dowódca przestrzegal — nie rzucać się w oczy, żeby mi was za dużo w mieście nie było. Poszedłem nawet do kina, narazając się na potępienie ze strony patriotycznie usposobionej większości kielczan — tylko świnie siedzą w kinie — tak się wtedy mówiło o nielicznych zwolennikach hitlerowskiej kinematografii. Daresmnie, wszystko okazywało się daremne, nigdy mi się nie udało spotkać Kingi.

Zacząłem więc wystawać pod jej oknami, najpierw nieśmiało, ze wstydem, wrewem sobie, na przekór dumie, której przecieć nie straciłem. Próbowałem nawet nie zgodzić się na tak całkowitą zależność od Kingi, lecz szybko przegrałem walkę o swoją niepoległość i czekałem się już bezwstydnie pod oknami. Dom rodzinny Kingi, widziany od strony ulicy, przypominał wiejski pałacyk. Przenikałem bez trudu jego mury, widziałem więc jak wieczorami schodziła Kinga z ram starego portretu, grywała Szopena, świece zapalał wiekowy sluga, który pamiętał jeszcze nieboszczyka dziada i dobrodzieja. Nad Kingą wisiało jakieś rodowe fatum, ktoś u nich zawsze prządl tragiczną nitkę, jak jej siostra, która kochała księdza miłością grzeszną, i właśnie ta nitka opłota Kingę i zakłęła w kamień. A kamień nie pokocha.

Któregoś dnia, kiedy stałem pod oknami, Kinga zagrała Szopena. Ale to nie był wcale wieczór, lecz ciepłe popołudnie. Muzyka uchiała nagie i usłyszałem jej głos.

— Niechże pan wreszcie wejdz! Boże, coż za dziwny mężczyzna!

Tak właśnie powiedziała, pamiętam dokładnie to jej pierwsze zaproszenie i ostatnie zarazem. Przekroczyłem próg pałacyku Kingi sądząc, że tym razem spadnie na nasz związek najtrwalsza pieczęć. Nic się takiego nie stało, już po godzinie wzbogaciłem swoje prywatne archiwum o gorzkie doświadczenie sztubaka. Naszej rozmowy odtworzyć już nie potrafię. Zresztą — nie słowa były u Kingi najważniejsze, lecz jakaś refleksyjna, głęboka i smutna atmosfera. Jak przez mgłę majaczy mi dzisiaj tamten pokój, stare portrety na ścianach, barwne medaliony kobiet z poprzedniego wieku, zamknięte w kształtnych owalach, trzy świece na fortepianie, oszklona szafa z bibelotami, stare meble i stare dywany, jakieś zasmęcone trwanie minionego, niepotrzebne już nikomu. I Kinga.

Mówiła, że porzuca Kielce, jedzie na wieś do kochanego stryja i kuzynów, nie może tu dłużej wytrzymać, miasto jest tylko szczególną postacią więzienia, a tam na wsi jeszcze dużo swobody, można posmakować letnich nocy nad rzeką, pędzić na koniu aż do upojenia, zatracić się w dojrzwających zbożach, utonąć w kwiatkach. Dom poprowadzi jej siostra, czarna dama, oplakująca księdza Widzenta. Spytałem co będzie z nami. Nie wydawała się zdziwiona... Coż, wszyscy posiadamy swoje senne królestwa, ja

swoje, ona swoje. Jest już dawno przyrzeczona młodemu oficerowi ułanów. Mieszkał ze stryjem po sąsiedzku. Narzeczonego zna mało, bywał kilka razy w karnawale trzydziestego dziewiątego, w ostatnim karnawale, tańczył ładnie, trząskal obcasami, ale nie był głupi, przeciwnie — bardzo odczytany i tak to jest, im mniej się zna, tym więcej tęskni. Narzeczonego tęskni w oflagu i wierzy, że to, co przyręczone będzie dotrzymane.

Coś się więc powtórzyło w moim losie, coś dawnego, kieleckiego, Ludwinią Borowska także była przyrzeczona. Kinga musiała

WIESŁAW JAŻDZYŃSKI

W ostatniej godzinie

coś wiedzieć o tamtym nie spełnionym romansie, gdyż powtórzyła za Ludwinią:

Wiem, że głos mój przemienia
Jak głos liry w dolinie,
Jak młodzieńcze marzenie,
Jak serdeczne westchnienie

Mówiła ten wiersz zapatrzona w okno, stylizowała, przejmowała jak ja starą kielecką konwencję, bo przystawała akurat do nas. Być może w tym właśnie momencie, zapatrzona w stary klasztor na wzgórzu, widziała inne Kielce, spokojne i szczęśliwe? Jest i inna możliwość — to ja mocą swojej wyobraźni pomieszczyłem nas oboje w epoce Sztyfłowich Prac. Nie wpisała mi tego wiersza do imionnika, ten szczegół nie powtórzył się. Po prostu nie miałem imionnika, trudno w czas wojny prowadzić miłosne zielniki, trudno zwłaszcza konspiratorowi. W wypadku aresztowania, rewizji, imionnik naprowadza bez pudła na ślady najbliższych przyjaciół. Zostałem więc wskutek wojny zubożony o ten liryczny akcent roztania, o zwykłą kartkę papieru, której można przyglądać się latami, śledzić i sprawdzać proces zanikania liter, kruszenia, rozpadu.

Już przy pierwszym spotkaniu spotkało mnie niestety, a jednak początkowo nie odczuwałem zbyt silnie kłeski, żyłem atmosferą, którą wytworzyła wtedy Kinga, żyłem zawieszony pomiędzy literaturą i życiem. Podala mi swoją fotografię. Patrzyłem na jej jasne oczy, czarne smugi brwi, usta złożone smutno, troszkę jakby melancholijnie, patrzyłem przez krótką chwilę, gdyż wzięła z moich rąk fotografię, usiadła przy biurku i napisała jednym tchem:

I co ja zrobię po śmierci z sobą i całym światem?
Czy w twoich łzach się zaleję?
Czy się we mgłę zaniebieszczę?
Mrok nieodparty szedł się w ogrodzie z bezwonnym kwiatem —
Myśmy byli w tym mroku i będzimy tam jeszcze!

Piękna i smutna twarz na fotografii nie pogodzona ze światem, kruczę włosy Kingi, Lesmian na odwrocie powracający mi nadzieję, mężczyzna w zielonym mundurze otoczony koleżystym dremem, tęsknota oficera równa mojej i jego wierności równa — takie zapamiętałem akcenty naszego spotkania i rozstania zarazem. Kinga niczego jednak nie przesądzała, posłużyła się poetką, aby mi powiedzieć, że wszystko jest jeszcze możliwe, świat dziwny, życie poplecione, ktoś może wiedzieć co jest mu pisane?

Jak żeśmy się pozegnali, jakie padły słowa na koniec — nie umiem powiedzieć. Pomaszzerowałem na klasztorne wzgórze. Coś się musiało we mnie buntować przeciw Kindze, już wtedy, na samym początku naszej smutnej historii. Byłem przekonany, że jest i będzie dla mnie niedostępna, zwyciężyło przeznaczenie, które kierowało jej losem i moim.

Usiadłem pod murami starego klasztoru i przeżywałem Kingę w czasie przeszłym niedokonanym. Niedokonanym, gdyż przewidywałem swój przyszły los — Kinga pojawi się znowu w najmniej spodziewanym momencie i raz jeszcze będę musiał usuwać drzazgi spod serca. Stare, wiekowe sosny, otaczające klasztor, pamiętały wiele pierwszych miłości, nasłuchiwały się zwierzeń, towarzyszyły niejednemu dramatowi, wiele drzew rozdarły pioruny lecz sosny nie dają się zniszczyć, odrastają w każdym pokoleniu i wciąż, aż po dzień dzisiejszy, przychodzą tu samotnicy jak ja

ku chłopca do dziewczyny, może ręce znają już niejedną szczegół dziewczęcego ciała, ale też to było i wszystko — przekraczałem jednak próg stosunku do świata, szukałem gorączkowo właściwego miejsca, odpowiadającej ściśle.

Pod wieczór wyszła z klasztoru siostra Kingi, czarna dama, Krystyna. Nie obserwowałem tego momentu, siedziałem tyłem do bramy, zapatrzony w miasto, słyszałem tylko skrzywienie furtki, w chwilę później jej niski głos. Siadła przy mnie spokojnie, ufnie, jakbyśmy się znali od lat, piękna i posepna, ale nie wroga. Nie pamiętam już od czego zaczęła, chyba jednak od razu wyraziła radość z powodu wyjazdu Kingi. Ona zaś pozostaje na tak zwanej wolności, to „tak zwanej” powiedziała ze szczególnym podkreśleniem i doprawiła ironią. Ludzkiej, doczesnej wolności w ogóle nie ma, coś takiego mówiła, ale ona musi jeszcze pozostać, żeby pochować księdza Widzenta, człowieka świętego. Wie już gdzie go zakopano po rozstrzelaniu i chce przenieść zwłoki na poświęconą ziemię, musi tego chrześcijańskiego obowiązku dopełnić. My, konspiratorzy, ukryci pod pseudonimami Athos, Portos, Aramis i d'Artagnan, powinniśmy zwłoki wydobyć, trumna już przygotowana. Tak odgrzebywano kiedyś na tej właśnie ziemi — powstańców z roku 1863, umarli należeli do tej samej sztafety pokoleń, w której biegliśmy i my. Zgodziłem się, również i w imieniu kolegów. Zrozumiałem, jak mi się zdawało, ogromnie ważną prawdę. Stanowimy jedność: szczątki dawnych Polaków, te ciała obrócone już w proch, i my, jeszcze żyjący.

Wracaliśmy razem do miasta i wyglądaliśmy jak zwykła młoda para, niektórzy ludzie oglądali się za nami, a Krystyna wyjaśniała mi jak ona rozumie wolność. Trzeba najpierw uzyskać głęboką wiarę, że nasz los zależy od Boga i nikogo więcej. Człowiek nie może odebrać wolności drugiemu człowiekowi, ani mu swojej woli narzucić, bo to już boska sprawa. Ucisk biednych przez bogatych jest złudzeniem, przekonamy się o tym, jeśli w nas pozostanie wiara, że ostateczne i jedyne roz-

o to zapytać, ale ugryzłem się w język. O co chodziło Krystynie? Czemu tak bardzo pragnęła mnie oddzielić od Kingi? Jaką prawdą dziła grę?

Spotkaliśmy się nocą, ale nie znaleźliśmy ciała księdza Widzenty. Kopalimy w pustym polu za stawami Siekluckiego. Obok nas stał nieznanny mężczyzna i modlił się bez przerwy. Nie widzieliśmy jego twarzy, nie o tym człowieku nie mogliśmy powiedzieć, słyszeliśmy tylko jego monotony, rozmodlony szep. Nie znaleźliśmy ciała, Krystyna musiała pomylić kamienie, kopalimy więc w innym miejscu, daremnie, więc znowu kopalimy, nie mogliśmy się oprzeć rozpacz Krystyny. Wyrwała z naszych rąk łopaty, przystawała w milczeniu nad kazym następnym i pustym dołem, mężczyzna szedł za nami, szepotał modlitwy i związał za każdym razem brezentowy worek, w którym mieliśmy przenieść zwłoki Widzenty na cmentarz. Puchły nam ręce, kopalimy jednak wytrwale, Krystyna biegła od dołu do dołu, ale ani jedna iza nie pojawiła się w jej oczach. Wszystko odbywało się w ciszy nasyconej nieznosnym szepem nieznanego, czasem tylko łopata zagrzynała na kamieniu. Ocieraliśmy spocone twarze coraz bardziej zdziwieni niezwykłą sytuacją. Kopalimy, a zwłok nie ma. Śmierć przynależą do kategorii ostatecznych, nikt jeszcze nie powrócił z poza tamtego progu, tymczasem Krystyna zachowywała się tak, jakby odnalezienie szczątków człowieka mogło spowodować jego powrót między żywych, jakby istniała możliwość związania pękniętej nici, byle tylko wykopać, dogrzebać się do ludzkich resztek.

Niebo zaczęło jaśnieć, powracał dzień, musieliśmy zaprzestać kopania. Krystyna odeszła bez słowa z nieznanym, a my przemknęliśmy do Aramisa. Mieszkał na krawędzi miasta, nie mieliśmy żadnych kłopotów ze zniknięciem. Ułożyliśmy się w obszernej altanie ogrodowej i zapaliliśmy papierosa. Czuliśmy potrzebę szczerzej wymiany zdań, potrzebę znacznie mocniejszą niż senność.

Portos twierdził stanowczo, że w stosunku Krystyny do Widzenty nie było nic religijnego, absolutnie nic.

— Zakochana kobieta, panowie, zawsze chce odnaleźć ciało kochanka, tak jest od początku świata. Krystynkę przycisnęła zwykła, ziemska miłość, uczucie na ogół mocniejsze od bożyci przykazań. Jeszcze jeden piękny i smutny romans, panowie.

Ja także przedstawiłem swoje stanowisko w tej niezwyklej sprawie.

— Hitlerowcy sami przenieśli ciało w inne miejsce, nikomu nie znane oczywiście, nie chcą, żeby je odnaleziono, boją się manifestacji patriotycznej, dlatego kopalimy darmo, panowie.

Aramis uśmiechnął się znacząco.

— Znam Krystynkę, znam te sfery nie najgorzej, to są sfery wielkich mitów. Widzenta jest właśnie takim mitem, panowie, toż oni go sobie wymyślili, rozumiecie? Wydumali, ponieważ potrzebny im był mit o bohaterze. Kto z was widział tego Widzenta? Jak wyglądał? Brunecik z wąsikami, czy blondynek bez wąsika? Wszyscy o nim mówią, ale nikt go naprawdę nie widział. To wszystko, radzę spokojnie spać.

Athos był przeciwnego zdania.

— Widzenta istnieje naprawdę, panowie, on żyje nadal, ponieważ wcale nie został rozstrzelany. Żyje i ukrywa się. Mit o jego śmierci został spreparowany celowo, aby Widzenta mógł swobodnie działać, oczywiście pod innym nazwiskiem. W taki mit gotów jestem uwierzyć. Krystynka dokonała manewru, całkiem świeckiego manewru, jeśli nie politycznego.

Aramis poparł niespodziewanie Athosa.

— To brzmi przekonująco i jest proste jak drut. Mielibyśmy uwierzyć, że nie ma już Widzenty, nie ma ponad wszelką wątpliwość, a on będzie sobie działał nadal w swoim ugrupowaniu politycznym. My w ten kamufaż uwierzmy i powiemy w zaufaniu oczywiście znajomym, nasi znajomi swoim znajomym, może i do Niemiaszków to dojdzie.

Wtedy nie widzieliśmy jeszcze, jak bardzo blisko byliśmy prawdy.

Fragment powieści pod tym samym tytułem, która ukazała się niebawem nakładem „Czytelnika”.

WOJCIECH NATANSON

Fraszki ukrywane w biurku

MARZENIE PISARZA

Oto prawdziwa pisarska Arkadia
Pisać dla radia — i nie słuchać radia.

CZŁOWIEK TWÓRCZY

Cokolwiek zarobi w Żakaisie
W Spatiffie to wyda mu w mig się.

ŻELAZNY REPERTUAR

Tak długi o nim gadali
Aż go na złom oddali!

NA SAMEGO SIEBIE

Nie czas tych frazdek ukrywać i chować
Krytyk się musi raz skompromitować.

kupacji, jeszcze nie widziałem ani jednej zmasakrowanej twarzy, nie słyszałem jęków zabijanych kłami, nie widziałem ludzi mrących z głodu, ani mogli zbiorowych, ponad którymi długo jeszcze ruszała się ziemia, nie widziałem ręki chwytającej rozpaczliwie powietrze, kiedy reszta ciała spoczywała już w ziemi, nie dotarł jeszcze do mnie płacz małego dziecka daremnie wolaającego matkę.

Jest mi już bardzo trudno otworzyć po tylu latach mój własny sposób myślenia. Wiem wszakże z pewnością, że roztanie z Kingą, nie ostatnie, jak się później przekonałem, zmusiło mnie do refleksji, z których próbowałem zbudować coś w rodzaju światopoglądu. Nie przekroczyłem jeszcze wtedy progu stosun-

strzygnięcia co do naszego udziału w wieczności zapadnie z boskiego wyroku.

Obserwowałem Krystynę dyskretnie, była kobieca, może nawet bardziej niż Kinga, szła sprężysto, obserwowałem ukradkiem delikatne drżenie jej piersi.

— Przechodzę cię przed Kingą, to jest kobieta fatalna, typowe dziecko doczesności, ona pije świat, polyka każdy dzień, wchłania wszystkimi zmysłami. Za Kingą zawsze idzie czyśś nieszczęście, może ona sama zła nie powoduje, znaczy nie jest złym człowiekiem, lecz czymś w rodzaju katalizatora, nie czyniąc zła sama je wyzwala. Jeżeli uwierzysz, że i twoim losem kieruje Bóg — będziesz od Kingi wolny.

A ty jesteś wolna od Kingi? Chciałem w pierwszym odruchu

Ciekawe lecz mało znane

W 1955 roku ukazała się nakładem „Czytelnika” „Antologia noweli bułgarskiej XIX i XX wieku” w tłumaczeniu B. Cirlia i H. Kalitę, w roku następnym „Orle pióro i inne opowiadania” pisarza bułgarskiego — Elina Pelina, w tym samym wydawnictwie.

Następuje dłuższa przerwa i dopiero w roku 1967 wydaje PIW „Gorące południe, opowiadania bułgarskie 1960—1966”. Niestety, ani te zbiory nowel, ani nieliczne tłumaczenia większych pozycji powieściowych nie zdołały wzbudzić w społeczeństwie naszym większego zainteresowania literaturą bułgarską. Dlaczego? Być może winę ponosi tu w pewnej mierze obawa przed ryzykiem „marnowania” czasu na czytanie utworów nie znanych poza granicami Bułgarii.

A szkoda! Naród bułgarski, jakby pragnąc nadrobić opóźnienie cywilizacyjne, spowodowane trwającą pięć wieków niewolą turecką, przejawia ostatnimi czasy godną podziwu energię i prężność w dziedzinie rozwoju kultury narodowej. Przyczyniły się do tego — rzecz oczywista — nowe warunki, które umożliwiły poszukiwania twórcze. Nowoczesna literatura bułgarska, podobnie jak polska, zwrócona jest zarówno ku przeszłości, jak i przyszłości. Autorzy bułgarscy nigdy nie zapominają o tym, że są synami wielkiego narodu, który okupił drogę swą wolność, pamiętając wciąż o ofiarach poniesionych w walkach z okrutnym zaborcą tureckim i z faszyzmem, nawiązując wciąż do tradycji męczeństwa i bohaterstwa, ale z drugiej strony są zawsze świadomymi nadrzędności trosk o przyszłość ojczyzny nad wszelkimi innymi sprawami.

Dzieje Bułgarii i Polski wykazują wiele cech wspólnych. Oba kraje mają chlubną przeszłość. Bułgarzy mogą poszczycić się wspaniałą tradycją kulturalną, sięgającą IX wieku (działalność Cyryla i Metodego), a o zasługach cywilizacyjnych państwa Piastów i Jagiellonów wiadomo powszechnie zarówno w Polsce jak i gdzie indziej.

Wtargnięcie Turków do Bułgarii w wieku XV uniemożliwiło w ciągu pięciu wieków normalny, ewolucyjny rozwój kraju, w którym wszystkie siły i całą energię narodu pochłaniała walka o przetrwanie.

Przypomina to nam bolesne doświadczenia narodu polskiego w ciągu 150-letniej niewoli, z tą jednak różnicą, że niewola turecka trwała dłużej i dlatego dokonała większych spustoszeń.

Dzisiejsza Bułgaria liczy 8 milionów mieszkańców, czy jednak ta stosunkowo niewielka ilość ludności przesądza o skuteczności ambitnych wysiłków tego narodu? Narody skandynawskie nie należą do najliczniejszych, a jednak pisarze ich odegrali tak doniosłą rolę w życiu kulturalnym Europy.

Na obwołanie wspomnianego już zbioru nowel pt. „Gorące południe” (tłumaczenie Jadwigi Nurkiewicz) czytamy:

„Jednym z najprężniej rozwijających się obecnie w Bułgarii gatunków literackich jest tak zwana „mała forma” — opowiadanie, nowela, mikropowieść”.

Jeśli nawet zgodzimy się z tym, że Bułgarzy okazali się mistrzami „małej formy”, to jednak stwierdzić trzeba, że ambicje pisarzy bułgarskich sięgają dalej.

Próbują oni również sił w dziedzinie wielkiej, nowoczesnej powieści o rozmachu epickim — obrazującej przeobrażenia ideowe narodu bułgarskiego w okresie okupacji hitlerowskiej. Świadczy o tym np. powieść Dymitra Angelowa „Na żywot i smart” (Na śmierć i życie), nie przetłumaczona dotąd na język polski, w której autor na 825 stronkach przedstawia w ciekawy sposób reakcję społeczeństwa bułgarskiego na praktyki hitlerowskiego „sprzymierzenia” i bohaterską walkę partyzantów bułgarskich. Powieść tę czytelnik nasz przeczytałby z pewnością z wielkim zainteresowaniem, jest ona odpowiednikiem „Kolumbów” Bratnego, przy uwzględnieniu różnic między warunkami okupacji hitlerowskiej w Bułgarii i w Polsce.

Literatura bułgarska — zarówno dawniejsza jak i współczesna — poświęca wiele miejsca tematyce chłopskiej. Nie dziwnego! Do niedawna była Bułgaria, podobnie jak Polska przedwojenna, krajem przede wszystkim rolniczym. Pod tym względem zmieniło się w Bułgarii wiele ale problem wiejski odgrywa tu wciąż wielką rolę, a poza tym w niedawno powstałych centrach prze-

myslowych zaznacza się wielki wpływ ludności wiejskiej i dlatego bez uwzględnienia specyficznych cech umysłowości chłopskiej nie się tu zrobić nie da. Stosunek zaś pisarzy bułgarskich do ludu wiejskiego zasługuje ze wszelkich miar na uwagę czytelnika polskiego. Aby uzasadnić ten pogląd, przypomnę, że w literaturze polskiej istniał niegdyś nurt, któremu patronował autor „Wesela” — nurt, którego cechą zmienną było przypisywanie warstwie wiejskiej roli awangardowej. Ciekawe jednak, że reprezentantem tego nurtu nie jest Władysław Reymont. Pisarz ten w swej wspaniałej epopei chłopskiej daje barwny obraz życia wiejskiego i bohaterowie jej budzą podziw swą żywotnością i przywiązaniem do ziemi i obyczajów chłopskich. Ale Reymont był naturalistą i dlatego pesymistyczna koncepcja naturalizmu dążącego do ukazania natury ludzkiej w całej jej odstręcającej niekiedy nagości, zaciążyła w sposób jaskrawy często na arcydziele literatury polskiej i światowej.

Tradycja naturalizmu jest złą tradycją, przewyżconą dziś wszędzie i w Polsce i gdzie indziej. A poza tym dlaczego mają być tylko chłopcy „ofiary” tego pesymistycznego i deformującego kierunku? Do całkowitego zaś przewyżczenia naturalistycznego stosunku do środowiska wiejskiego przyczynić się może twórczość sławnego pisarza bułgarskiego, chłopskiego pochodzenia, Elina Pelina (ur. w 1878 r., zmarłego w roku 1949). Bohaterowie chłopcy Elina Pelina są często ciemni i nieokreśleni, na ogół jednak ani lepsi ani gorsi od innych — ulepieni z tej samej gliny, co „wszyscy”, ale mają też często takie cechy, które będąc wynikiem ich ciężkich i trudnych doświadczeń życiowych, budzić winny uznanie i naśladowanie. Bohaterowie Elina Pelina i innych pisarzy bułgarskich, zajmujących się tematyką chłopską (np. Jordana Jowkowa m.in. autora noweli „Serafim” i „Na drutach”) patrzą na świat w sposób swoisty, sobie tylko właściwy, zaprawiony ironią i specyficzną filozofią chłopską. Autorzy, zwłaszcza Jordan Jowkow, we wspomnianych wyżej dwu opowiadaniach, nie przetłumaczonych dotąd na język polski, w tym ich światopoglądzie zrodzonym z trudu i męki, widzą wartości — które powinni przyswoić sobie wszyscy ludzie na świecie.

Zasługują więc na nasze zainteresowanie Bułgarzy, ten cywilizacyjnie najstarszy naród słowiański, zasługujący na miano „seniora” narodów słowiańskich, a równocześnie najmłodszy cywilizacyjnie (jeśli odliczyć pięć wieków opóźnionego rozwoju w okresie niewoli tureckiej). Nas szczególnie powinien zainteresować żywy naród ten, który potrafił zwyciężyć zły los, gotujący mu zagładę, Bułgarzy i Polacy... Nie dali się zgreczyć, sturczyć, zniemczyć i zruszczyć...

I choćby ze względu na to podobieństwo losu historycznego i charakteru narodowego powinny się oba narody lepiej poznać i zbliżyć.



STARA WARSZAWA

O Warszawie pisano wfele i pozycji pamiętnikarskich mamy tu na kopie. A jednak zbiór gawęd Jana Kruszczyńskiego czyta się z zainteresowaniem, choć często autor notuje sprawy i wydarzenia dość znane. Zawsze jednak dobrze znał inny punkt widzenia, inne zdanie na temat zdarzeń i postaci osadzonych w historii kultury.

Poza tym gawędy Kruszczyńskiego napisane są lekko i z humorem — mówią o życiu stolicy w początkach naszego wieku i w okresie międzywojennym. Poczesne miejsce zajmują w tym pamiętniku właśnie artyści i wydarzenia artystyczne tamtych lat, choć nie brak i wspomnień o najbardziej znanych i charakterystycznych postaciach ówczesnej Warszawy, ulubionych rozrywkach warszawiaków, modnych kawiarniach itp. Ta książka — nie wiadomo czemu nie wydana w Bibliotece Syrenki, grupującej wszelkie warszawskie — oddaje z pewnością jedyną w swoim rodzaju atmosferę stolicy dawnych lat.

W dwunastu rozdziałach autor opowiada anegdoty teatralne, rysuje obraz starych Pragi, kiedy była starym miastem w rodzaju zupełnie odrębnego od Warszawy miasta, przypomina stare handelki i popularne knajpki, kawiarnie i bałki karnawałowe... Opowiada nawet o słynnych oszustach i kanclarskich aferach. Słowem jest to lektura „do czytania” w letnie wieczory, zajmująca i ciekawa, jak każdy zapis au-

tentycznych wydarzeń, które dziś już są historią.
J. W.

Jan Kruszczyński „Przed pół wiekiem w stolicy”, LSW, 1971.

PAMIĘTNIK WIECHA

„Na każdego przychodzi czas pisania pamiętnika” — stwierdził we wstępie swoich wspomnień „Pięć przez dziesięć” — Stefan Wiechecki. Właśnie — Stefan Wiechecki, a nie Wiech. Pseudonimem sygnował on dziesiątki swoich humorystycznych książek — tę jednak pod pseudonimem i nazwiskiem, sugerując jej odrębność od poprzedniej twórczości. I tak też jest w istocie.

„Pięć przez dziesięć” nie przypomina w niczym humorystycznych obrazków, choć, oczywiście, humoru tej książce nie brakuje. Jest to bowiem pamiętnik pisarza, pamiętnik bardzo subiektywny, choć może za bardzo subiektywny. Autor nie raz przekreśla fakty — może po prostu niezbyt dokładnie pamięta. Jakiż bowiem może być punkt styczny między rozróżkami na widowni Teatru Popularnego, których autorami byli „zabradziazone kizory” z Pragi — a artystyczną demonstracją skamandrytów w Teatrze Polskim? Zwłaszcza, że Wiech myli się nawet w faktach politycznej demonstracji. Dobrotliwy Tata Tasiemka, trzymający w ryzach postępca element Warszawy lat międzywojennych też nie był taką miłą postacią. Ma on w historii swą dość ponurą i niekłębną kartę.

Wiech o tym nie pisze, bo przecież snuł prywatne refleksje z Warszawy swej młodości. Urocie to i pełne humoru refleksje, ale zbytnio zawierzać nie radzę ocenom i opiniom autora. W każdym razie lektura to zabawna i ciekawa, ale poznawcze walory ma niewielkie. Powie ktoś, że nie o to przecież chodziło autorowi. Zgoda. Niech więc będzie to lektura do poduszki — zajmująca i wesoła; opowieści o tym, co było raczej „przez dziesięć”.

J. W.

Stefan Wiechecki „Pięć przez dziesięć”, PIW, 1971.

Przeszłość i terażniejszość

Z Komuny Paryskiej zwykliśmy kojarzyć dwa nazwiska: Jarosława Dąbrowskiego i Walerego Wróblewskiego. I słusznie: pierwszy z nich był jednym z czołowych dowódców wojskowych Komuny, zaś od początku mają głównodowodzącym jej sił zbrojnych. Drugi był generałem dowodzącym prawym brzegiem Sekwany podczas walk z armią wersalską. Ale Polaków — komunistów — było przecież znacznie więcej.

KRYSTYNA WYCZAŃSKA w pierwszym wydaniu swojej książki o Polakach w Komunie Paryskiej, która ukazała się przed 15 laty z wielką ostrożnością odniosła się do liczby 600 Polaków, mających wziąć udział w paryskiej rewolucji, rozpowszechnianej przez zainteresowane w skompletowaniu polskiej emigracji we Francji władze carskie. Okazało się jednak, że chociaż pochodzenie tej informacji jest bardzo podejrzanym, nie odbiega ona zbyt daleko od prawdy. Dalsze badania własne oraz wyniki

poszukiwań uczonych francuskich, polskich i radzieckich pozwoliły K. Wyczańskiej w nowym wydaniu jej książki (Polacy w Komunie Paryskiej 1871 r. Wydawnictwo MON, 1971) nie tylko na dokładniejsze określenie liczby polskich uczestników tej pierwszej rewolucji proletariackiej w dziejach Europy, ale również na analizę ich składu oraz roli w dziejach Komuny. „Razem byłoby więc 450 Polaków, a liczymy, że mogło ich być 500, a może i więcej, ale chyba poniżej 600” konkluduje autorka. Tylko o połowie z tych ludzi udało się uzyskać dokładniejsze informacje. Okazało się więc, że wśród polskich komunistów przeważali ludzie młodzi w wieku od 16 do 30 lat, blisko o połowę mniej było ludzi w wieku od 31 do 40 lat. Zdecydowana większość z tych, którzy wzięli udział w walkach Komuny, była urodzona w Polsce i stosunkowo niedawno przybyła do Francji; przeważają wśród nich świeży emigranci z o-

kresu po powstaniu styczniowym. „Byli to przeważnie dowódcy i stąd nie przez zwykły zbieg okoliczności Komuna Paryska powstała ich na odpowiedzialnych stanowiskach wojskowych”. „Byli to ludzie o wypróbowanym patriotyzmie, dzielności, doświadcze-

niem, którzy pod wpływem zwłaszcza francuskich kół socjalistycznych, czemu sprzyjało ich położenie materialne oraz boleśnie odczuwana deklasaacja społeczna, jako była udziałem nie tylko pierwszego — po powstaniu listopadowym — lecz także i drugiego, po-

radyzmowi, co upośledzone warstwy społeczności francuskiej. „Upośledzenie ekonomiczne i radykalizacja ideologiczna — podkreśla K. Wyczańska — przygotowały grunt do przyszłego uczestnictwa polskich emigrantów w Komunie”. Zastanawiając się nad

polskich uczestników, na zrozumienie, że punkt ciężkości w programach politycznych przeszedł z problemów agrarnych na robotnicze. Komuna rozszerzyła świadomość konfliktu między pracą a kapitałem. Zastąpiła więc konieczność ustosunkowania się do tego problemu zarówno na emigracji, jak i w kraju”. Znaczenie polskiego udziału w Komunie dla dziejów polskiego ruchu rewolucyjnego stanowi ważny problem badawczy, który niechybnie zostanie podjęty przez naszą historiografię. W każdym razie dobrym punktem wyjścia dla przyszłych badań jest ostatnia konkluzja K. Wyczańskiej: „Powstańcy i komunisty, którzy powrócili do kraju, stali się przekazicielami tradycji niepodległościowych w ścisłym powiązaniu z reorganizacją społeczeństwa. Tradycje Komuny odczyły w pracach kółek socjalistycznych i Wielkiego Proletariatu. Dąbrowski stał się postacią ceniącą i stawianą jako wzór i przykład postępowości Polaków: „...będzie reprezentować chlubnie Polskę między ludami, do których przyszłość należy”.

JOZEF GRZELAK

POLACY W KOMUNIE PARYSKIEJ

niem wojskowym, o dużym hartie w pokonywaniu trudności. Przy tym wyniszczeni fizycznie i materialnie, wyzuci z wszelkiej własności w kraju, mieli za sobą „spalone mosty”. Większość spośród nich — niezależnie od społecznego pochodzenia — trudniła się na emigracji pracą fizyczną, częściej rzemieślniczą aniżeli w ścisłym tego słowa znaczeniu robotniczą, zarabiając na życie jako krawczy, szewcy, stolarze, kamieniarze, ale także robotnicy dźwówekowi, ulicznicy handlarze, zapalacze lamp itp. Ci Polacy szybko

styczniowego pokolenia polskich emigrantów we Francji. Znaczna część spośród tych polskich komunistów, którzy stanowili już drugie pokolenie emigrantów i urodzili się we Francji, nie mając wykształcenia, pracując fizycznie w ciężkich nieraz warunkach „zatracała swe poczucie polskości i związek z resztą emigracji. Natomiast posiadająca łączność z ludem francuskim, wiązały ją z nim podobne warunki życiowe i uświadomienie klasowe”. Nowi emigranci rychło znaleźli się w tych

czynnikami, które skłoniły polskich emigrantów do czynnego wystąpienia po stronie rewolucji, historyk wysunął więc na plan pierwszy radykalne poglądy społeczno-polityczne, dopiero na drugim miejscu stając polskie dążenia narodowowyzwoleńcze: „Hasłem moim jest przez wolność do niepodległości” powiadał Jarosław Dąbrowski. Nie on jeden łączył wówczas sprawę polską z celami ogólnorewolucyjnymi. „Rewolucja paryska wywarła (...) wyraźny wpływ na radykalizację poglądów

O „Julce” Władysława Rowińskiego

Udało mi się ostatnio nabyć książkę, której próżno by szukać w katalogach największych naszych bibliotek miejskich. Mowa tu będzie o zbiorze opowiadań Władysława Rowińskiego pt. „Julka”. Aż dziw, że ten zbiór, którego treścią jest życie i rozwój Łodzi w drugiej połowie XIX stulecia, nie doczekał się dotąd nawet historyczno-literackiego komentarza, podczas gdy zasługuje w pełni na wznowienie w serii wydawniczej ksiąg o dawnej Łodzi.

O samym autorze milczą podręczniki historii literatury i publikacje encyklopedyczne, tylko dzięki nieocenionej pracy Wiesławy Kaszubiny „Bibliografia prasy łódzkiej 1863—1944” i życzliwości jej autorki udało się w ogólnych zarysach zrekonstruować bieg życia znanego ongiś pisarza, dziennikarza i publicysty.

Władysław Rowiński urodził się w 1868 r., do szkół uczęszczał w Łowiczu i Piotrkowie. Od 1888 r. związał się ściśle z Łodzią prowadząc dział kulturalny powstałego właśnie z inicjatywy Stefana Kosutha „Dziennika Łódzkiego”. Po upadku tej pierwszej w Łodzi

polskiej gazety codziennej zamieszczał korespondencje z Łodzi w „Kurierze Warszawskim”, a od 1894 r. był korespondentem „Kurierza Codziennego” w Łodzi. W latach 1898—1906 współpracował z „Gońcem Łódzkim”, gdzie ogłaszał artykuły i felietony pod pseudonimem Halinka. Po osiemnastoletnim pobycie w Łodzi przeniósł się w 1906 r. do Warszawy, gdzie zmarł 8 lutego 1918 r. i został pochowany na Cmentarzu Powązkowskim.

Był Rowiński autorem wielu nowel i szkiców literackich rozproszonych w czasopismach krajowych, częściowo tylko zebranych w tomie „Julka”. Nad zbiorem tym ciąży do dziś niepochlebna a zarazem niesłuszna opinia Ludwika Stolarzewicza, który pisał: „Nowele nie mają większej wartości artystycznej. Brak im głębszego wnikięcia w środowisko. Autor pływa po powierzchni, nie usiłuje sięgnąć w głąb — nie interesuje się życiem robotnika — nie istnieją dlań żadne zagadnienia społeczne”.

„Julka” w swojej książkowej postaci ukazała się w 1899 r., a

więc w tymże samym roku, co głośna powieść Reymonta „Ziemia obiecana”, publikowana w latach 1897—1898 na łamach warszawskiego „Kurierza Codziennego”. Charakterystyczne jest, że właśnie ten rok przyniósł dwie pierwsze próby literackiego portretu rozwijającego się dynamicznie miasta. Dzieło Reymonta jest wspaniałą panoramą łódzkiego kapitału: wielkich bankierów i fabrykantów, ale brak w nim prawie zupełnie środowiska robotniczego, nie widać procesu wtapienia się przybyszów z okolicznych wsi i osad rolniczych w żarłoczny świat maszyny. Rowiński natomiast, wbrew sugestii Stolarzewicza, dostrzega sferę proletariatu łódzkiego: włóknarzy, szwaczek, przadek oraz zróżnicowaną warstwę średnich urzędników, majstrów, kancelistów, subiektów. „Ziemia obiecana” jest wyraźnie antyurbanistyczna, bohaterowie „Julki” głoszą raczej pochwałę miasta.

Są tu liczne, rozproszone w tekście, dygresje historyczne, sięgające początku lat sześćdziesiątych, choć sama akcja, tytułowe-

go przynajmniej opowiadania, toczy się już w latach osiemdziesiątych. Na uwagę zasługują relacje o pierwszym łódzkim czasopiśmie „Łódzkie Ogłoszenia. Lodzer Anzeiger”, ukazującym się w latach 1863—1864 oraz o „Dzienniku Łódzkim”, pierwszej polskiej gazecie codziennej. Ważne są też szczegóły o ówczesnym wygładzie miasta, szczegóły jakich dziś nie odnajdzie się w annałach prasy codziennej i archiwalnych dokumentach.

„Było to w dobie — powiada Rowiński — gdy o Łodzi krążyły po kraju legendy, Warszawa o niej nie wiedziała, a Berlin uważał ją za swoje przedmieście”. Z goryczą pisał Rowiński o Warszawie, która wprawdzie niezbyt od Łodzi odległa, przecie „nie starała się pociągnąć ku sobie sąsiadki. Jej kurierzy skwapliwie zamieszczały plotki o Łodzi, organy poważne o niej się odzywały półgębkiem, a prasa humorystyczna na cały głos drwiła i ośmieszala „kartoflarzy” łódzkich”. Niepostrzeżenie dla Warszawy wyrosła pod jej bokiem metropolia polskiego przemysłu, a luminażerze pozytywizmu krajowego nie widzieli tej gwałtownej przemiany w stosunkach społeczno-ekonomicznych, o którą walczyli słowem i piórem. Zdumiewająca jest ta długotrwała izolacja Łodzi od nurtu życia kulturalnego i politycznego kraju w ciągu wielu dziesięcioleci XIX wieku, kiedy o Łodzi głucho w naszej literaturze i publicystyce. Częściowej na to odpowiedzialności udziela Rowiński w „Julce”, która dziełem wybitnym z pewnością nie jest, ale niezaprzeczenie posiada rangę literackiego dokumentu o dużych walorach poznawczych, w którym fikcja literacka nie zaciiera history-

cznej prawdy o procesie przejścia naszego miasta z fabrycznej osady w wielkoprzemysłową metropolię.



Wakacyjny konkurs „Odgłosów”



Fot. Janusz Głowacki

Rozpoczął się sezon wakacyjno-wczasowych wędrowek, rozpoczęliśmy więc publikację zadań konkursowych, których tematem będzie Łódź i Ziemia Łódzka i związane z regionem tradycje historii i kultury. Zadania konkursowe publikować będziemy w ciągu kilku tygodni — zasada ta sama, co w poprzednich konkursach „Odgłosów”. Odpowiedzi można więc nadsyłać systematycznie, można też rozwiązywać tylko poszczególne człony konkursu. Oczywiście odpowiadając na wszystkie pytania zwiększacie swoje szanse w ostatecznym losowaniu nagród.

I nagroda — 1.500 zł w bonach towarowych

II nagroda — 1.000 zł w bonach towarowych

III nagroda — 500 zł w bonach towarowych

oraz trzy wyróżnienia w postaci wydawnictw albumowych.

Odpowiedzi prosimy nadsyłać wyłącznie na kartkach pocztowych na adres: Łódź, „Odgłosy”, ul. Piotrkowska 96 — „Konkurs wakacyjny”.

ZADANIE KONKURSOWE NR 1

Jakub Kubicki był jednym z najwybitniejszych architektów dojrzałego klasycyzmu i należał do tych, którzy stworzyli odrębne oblicze polskiej architektury XVIII i XIX wieku. Był autorem m. in. przebudowy Zamku Królewskiego (1817—1818) oraz autorem jednego z najbardziej znanych pałaców Warszawy — Belwederu.

Ślady twórczości architektonicznej Jakuba Kubickiego znajdują się także na Ziemi Łódzkiej. Oto na rynku w Łęczycy stoi dom, który projektował ten wybitny twórca polskiego klasycyzmu.

Zadanie konkursowe brzmi: jaki budynek w Łęczycy projektował Jakub Kubicki?

MIECZYSLAW STOLARSKI

W blasku olimpijskiego znicza

Bez wątpienia najwłaściwszym wykładnikiem wzrostu lub obniżenia się poziomu sportowego w danym kraju są Igrzyska Olimpijskie. Tutaj bowiem w bezpośredniej walce sportykają się najlepsi z najlepszych, wyselekcjonowani sportowcy wszystkich

państw świata, a ranga imprezy dopinguje ich do uzyskiwania rezultatów, będących aktualnie szczytem ich możliwości. Do Olimpiady w Tokio (pomijam tu Igrzyska Zimowe, obejmujące swoim zakresem niewielką liczbę dyscyplin) sport polski osiągał coraz lepsze wyniki,

Ukoronowaniem tego była właśnie Olimpiada tokijska, gdzie zajęliśmy w punktacji nieoficjalnej siódme miejsce, zdobywając 7 złotych, 6 srebrnych i 10 brązowych medali. Jednak na ostatnich Igrzyskach w Meksyku wywalczyliśmy już miejsce ósme, a i ilość medali była mniejsza: 5 złotych, 2 srebrne, 11 brązowych. A więc gorzej niż w Tokio.

Za rok czekają nas kolejne Igrzyska Olimpijskie, tym razem w Monachium. Czy aktualna sytuacja w polskim sporcie pozwala przypuszczać, że w roku przyszłym na monachij-skiej Olimpiadzie osiągniemy większe sukcesy niż w Tokio? Dokonajmy skróto-wej oceny aktualnego poziomu i aktualnych możliwości polskiego sportu wy-czynowego.

Dotychczas najczęściej medali przynosiły nam takie

dyscypliny sportu jak lekka atletyka, boks, szermierka i podnoszenie ciężarów. Zaczynamy więc od l. a. — „król-owej sportu”.

Po pewnym okresie kryzysu ta dyscyplina sportu powoli zaczyna zbliżać się do poziomu, jaki reprezentowała w końcu lat pięćdziesiątych. Światowy poziom reprezentują przedstawiciele konkurencji biegowych, nieco jednak gorzej jest z konkurencjami technicznymi. W sumie więc nie dysponujemy taką ilością dobrych zawodników, którzy by mogli zapewnić nam wystarczającą ilość miejsc punktowanych.

Jeszcze gorzej jest z boksem. Kryzys w tej dyscyplinie sportu, brak odpowiedniej pracy szkoleniowej, nadużycia wśród działaczy powodują, że przyszłość pięściarstwa w naszym kraju ma być w jak naj-czarniejszych barwach. Ode-

szył tacy zawodnicy jak Kulej czy Grudzień, a w reprezentacji nie bardzo jest kim załatać powstałe luki.

Podobnie można mówić o szermierce. I tutaj wśród działaczy daje się zauważyć pewne rozprężenie, a co za tym idzie i osiągnięte wyniki nie zaspokajają naszych aspiracji. Siablistka walczy florecistki, kryzys jest w szpadzie, przeciętny poziom reprezentują szpadziści, a jedynie postęp widać we florecie mężczyzn.

Z tych czterech czołowych dyscyplin sportu jeshce najrówniejsze wyniki osiągają ciężarowcy, chociaż i tu, ostatnio, dały się zauważyć pewne oznaki osłabienia formy. Tutaj jednak dla odmiany prężnie działa związek i w tej dyscyplinie oczekiwać można sukcesów.

Z pozostałych dyscyplin sportu pewne postępy od-

notować możemy w kolarstwie zarówno szosowym jak i torowym (nie upajajmy się tu jednak zbytynio sukcesami odniesionymi w Wyścigu Pokoju, gdyż dopiero muszą one znaleźć potwierdzenie na mistrzostwach świata). W dzudo trener japoński Hiromi Tomita założył swoistą „stajnię” na AWF wprowadzając 9-godzinny dzienny reżim treningowy. Lepiej jest w kajakarstwie, wioślarstwie, łucznictwie i zapasach. Gry sportowe, jak koszykówka czy siatkówka reprezentują mniej więcej stały dobry poziom, chociaż piłkarze reżni nie zdołali zakwalifikować się do turnieju olimpijskiego. Moim zdaniem właśnie w tych mniej popularnych dyscyplinach sportu oczekiwać należy już niedługo sukcesów i to na miarę światową.

Odrębną sprawą jest piłka nożna — najpopularniej-

Szlagier sezonu

Ta książka nie będzie mieć łatwego życia. Jej autor nie ma skłonności do schlebienia, idzie pod prąd nawyków myślowych, burzy utarte poglądy i obala narosłe mity. Narazi się zapewne niejednemu z krytyków, nie lubiących, aby o pewnych sprawach pisać po prostu i zdecydowanie. Jest to więc autor odważny? Tak, bo odwaga polega na mówieniu rzeczy niepopularnych i nieobawianiu się zarzutu, że się czymkolwiek komukolwiek narazimy. Myślę o książce Bohdana Drozdowskiego „Albion od środka”, którą chciałbym wpisać na listę szlagierów sezonu. „Albion od środka” nie jest powieścią, nie jest reportażem, nie jest esejem, ale jest tym wszystkim razem i jeszcze czymś ponadto. Drozdowski przebywał cztery lata w Anglii jako wicedyrektor Londyńskiego Instytutu Kultury Polskiej, a ponieważ funkcję swoją traktował na serio, tzn. chciał w tym czasie coś niecoś zrobić — miał sposobność do spotkań z różnymi ludźmi, przeprowadził setki rozmów, przeczytał mnóstwo gazet i książek, naoglądał się telewizji i nasłuchał radia, słowem: zdobył nie byle jaką wiedzę o Anglikach, ich życiu, prasie, literaturze i wielu innych sprawach. Z zapisków i notatek, ujętych w formę dziennika, powstała całość, którą się czyta jak fascynującą powieść. A przecież obejmuje ona tak niewiele: zaledwie sześć miesięcy — od stycznia do końca czerwca 1969 roku. Okazuje się, że dla bystrego obserwatora jest to okres wystarczający, aby ujrzeć nie tylko Albion od środka, lecz także własny kraj, z nieco innej perspektywy.

Rok 1969 był pod wieloma względami znamienity. Z naszego, krajowego punktu widzenia, charakteryzował się on, na przykład, wzmożonymi napaściami wrogów na Polskę. Dodajmy: napaściami, których autorzy nie przebieżeli w środkach. Największa bzdura, najohydniejsze kłamstwo przedstawały się w owym czasie na łamach prasy zagranicznej, zwłaszcza tej, którą kierują placówki syjonistyczne lub które pozostają pod ich wpływami. Drozdowski poświęca tym sprawom sporo miejsca. „Pisze jasno i otwarcie, odsłania kulisy działań, w których brali udział emigranci pomarcowi

z Polski — do niedawna eksponowani komunistami, a teraz niewinne ofiary „barbarzyńskiego reżimu”. Ta część „Albionu od środka” posiada szczególne znaczenie. Gorzkie z niej płyną nauki, ale zdrowe. Nic nie znaczy fakt, że Polska przez wieki cała była schronieniem dla Żydów, wyrzucanych z Hiszpanii, Francji, Niemiec, Anglii i innych krajów. Nic nie znaczy fakt (oczywiście w opinii tych wrogów), że z takim poświęceniem ratowano w czasie okupacji rodziny żydowskie. Z enuncjacji prasowych w Wielkiej Brytanii i gdzie indziej wynika, że hitlerowcy nie byli wcale tacy źli, źli byli przede wszystkim Polacy. Przypomina się tutaj znane powiedzenie ludowe: nie się tak nie mści na człowieku jak dobre czyni, które popełnił. Ale jest w tym wszystkim i pewna pociecha: ludzie, którzy latami ukrywali swoje prawdziwe oblicza, odsłanili je, wiemy przynajmniej, z kim mamy do czynienia.

Inna sprawa, do której raz po raz wraca Drozdowski w swoim dzienniku — to propaganda kultury polskiej na rynku anglosaskim. Rynek to trudny, oporny, wiedza tam o kulturze polskiej niewiele, nasza wiedza o nich stoć kroć większa, niż ich o nas. Wejście na rynek angielski jest niesłychanie skomplikowane, trudności te powiększają niekiedy nasze błędy propagandowe, zwykła ludzka nieudolność. Trzeba wielkiej pracy, znajomości tamtejszych stosunków, rozumnej i przemyślanej działalności, aby starania nasze mogły być skuteczniejsze. Niejedno wszakże uległo już poprawie, sytuacja dziś przedstawia się o wiele lepiej, niż pięć, sześć czy jeszcze dziesięć lat temu. Książki naszych pisarzy, wystawy plastyczne, wizyty muzyków i ludzi teatru powoli, lecz stale ugruntowują sobie uznanie w intelektualnych i artystycznych środowiskach brytyjskich.

Drozdowski miał szczęśliwą rękę do kontaktów z ludźmi. To jemu zawdzięczać należy sprowadzenie do Polski syna Conrada — Borysa, a następnie namówienie go do pisania wspomnień o ojcu, które ukazały się niedawno po polsku jako „Kronika rodzinna”. Conradiana w książce Drozdowskiego cieszą w szczególny sposób piszące te słowa, dla

którego Józef Conrad jest jednym z najbardziej lubianych pisarzy i wszystko, co dotyczy jego życia i twórczości, na baczność zasługuje uwagę.

Obraz Anglii, jakiej wylania się z kart książki Drozdowskiego, może naszych bezkrytycznych entuzjastów Zachodu nieco rozczarować. „Żywoćne ciągle stereotypy myślenia o Zachodzie — pisze autor — przesłaniają wielu ludziom tyle istotnych a ukrytych spraw. Bardzo często także nie pozwalają na obiektywne poznanie”. Wydaje się, że Drozdowski czynił niemało, aby z właściwą mu pa-

sją odkryć to, co zobaczył, czego się dowiedział, co poznał. „Albion od środka” podbija rzetelnością i zaangażowaniem. Nie pisal go outsider, zimny esteta, lecz żarliwy, żądny prawdy pisarz, który zarówno w rzeczywistości obcego jak i własnego kraju umie dostrzec cienie i blaski. Ciekawa, znakomicie napisana książka!

Bohdan Drozdowski: „ALBION OD ŚRODKA, DZIENNIK TYCH WYSP”, Wydawnictwo MON, Warszawa 1971, str. 443, cena: zł 23.



Fot. E. Kudaj

POLONICA

O KRZYŻEWSKIEJ
W NRD

Zasopismo berlińskie „Film-Spiegel”, wydawane w NRD, prowadzi tw. lek-sykon filmowy, w którym prezentuje sylwetki popularnych aktorów filmowych, własnych i zagranicznych. W numerze 11 tego pisma (9 czerwca br.) znajduje się hasło, poświęcone Ewie Krzyżewskiej. Hasło obejmuje dane biograficzne, z których można się dowiedzieć, że Krzyżewska urodzona 7 lutego 1941 roku, ukończyła Wyższą Szkołę Teatralną w Krakowie i że brała udział w filmach rumuńskich, jugosłowiańskich i niemieckich. Następnie podano wykaz jej filmów polskich, a całość informacji osłobiono dużym zdjęciem aktorki.

W tym samym numerze znajdujemy krótką recenzję o wchodzącym na ekrany NRD filmie polskim „Mocne uderzenie”, w reżyserii Jerzego Passendorfera. Obok recenzji znajduje się fotografia od-twórczyni roli głównej, Magdy Zawadzkiej.

JK.

AUSTRIA — POLSKA

Od lat ukazuje się w Wiedniu, wydawany staniem Towarzystwa Austriacko-Polskiego, periodyk pn. „Austria-Polska”. Obecny numer, poświęcony 40 Międzynarodowym Targom Poznańskim, który ukazał się w wersji polskiej, zawiera wiele ciekawych artykułów i jest bogato ilustrowany. Odnotujmy m. innymi: rozmowę z ministrem spraw zagranicznych Austrii, Rudolfem Kirchschlagerem, o porozumieniu i współpracy z Polską, następnie artykuł burmistrza Wiednia pt. „Polska i Wiedeń” czy wreszcie reportaż „Wiedeń — miasto kongresów”. Numer zawiera ponadto artykuł o Gustawie Mahlerze w 60 rocznicę zgonu tego wybitnego kompozytora austriackiego oraz niezwykle ciekawe rozważania o uprawie winorośli w Austrii. Jak zawsze i tym razem pismo przynosi skrupulatnie sporządzoną kronikę wydarzeń kulturalnych (imprezy polskie w Austrii i austriackie w Polsce).

JK.

POLONICA

sza i chyba najbardziej niewdzięczna dyscyplina sportu w naszym kraju. Od lat miliony kibiców dają ogromny kredyt zaufania piłkarzom, od lat zawodnicy tego kredytu nie spłacają. Rozpieściłszy bardzo naszych piłkarzy, zawniły tu także przestarzałe metody szkolenia, uparcie lansowane przez grupę „starszych panów” będących trenerami i kierującymi mocno piłkarski „dogmat nieomyślności”. Jako zadania na najbliższy okres Polski Komitet Olimpijski postawił przed piłkarzami uzyskanie awansu do finału mistrzostw Europy i Igrzysk Olimpijskich. W obydwu wypadkach owe wymagania o wiele przekraczają aktualne możliwości polskich piłkarzy.

Tak, w największym oczywiście skrócie, przedstawia się aktualna sytuacja w polskim sporcie. Nie jest ona najlepsza. Świadczy o tym

choćby fakt, że w 3 tygodniach spotkań międzypaństwowych osiągnęliśmy 1500 zwycięstw, zremisowaliśmy ok. 160 meczów, a aż 1400 przegraliśmy. Bilans wydaje się być dodatni, gdyż przeciętnie większość spotkań wygraliśmy, ale prawie połowa zakończyła się naszą porażką.

Gdzie szukać przyczyn tego nie najlepszego stanu polskiego sportu wyczynowego? Naszym zdaniem tkwią one zarówno w jego strukturze, jak i w potwornych zaniedbaniach, leżących u podstaw ruchu sportowego czyli w szkołach. Zaczniemy od tych ostatnich.

Nie wiadomo skąd w szkołach utwierdziła się zasada, że wychowanie fizyczne należy traktować jako przysłowiową „kulę u nogi” czy „piąte koło u wozu”. Jest bo jest ale czy to takie ważne? Plon tego zbieramy właśnie teraz. Nauczyciele

już w szkołach średnich, nie mówiąc o wyższych uczelniach narzekają na nieprawidłową postawę u młodzieży, wynika z braku odpowiednich ćwiczeń fizycznych. A gdzie te dzieci mają sport uprawiać? Spośród kilkudziesięciu szkół łódzkich chyba tylko dwie posiadają pełnowymiarowe sale gimnastyczne. Pozostałe posiadają sale, owszem, ale budowane je nie w pełnych wymiarach. Czy takie oszczędności są oplacalne? Z pewnością nie. Dopiero ostatnio podjęto decyzję o wprowadzeniu odpowiedniej ilości godzin wychowania fizycznego dla dzieci w klasach 1-4. Brak jest krytycznych pływali. W skali całego kraju dysponujemy zaledwie 112 pływalniami krytymi, 495 basenami otwartymi, nie mówiąc już o braku pełnowymiarowych pływalni 50-metrowych. Również dużo do życzenia pozostawia

aktualny stan boisk przy-szkolnych, w większości zdezastrowanych, gdzie z powodu braku wykonawców jest niewielka ilość płyt asfaltowych. Tylko nadanie wysokiej rangi wychowaniu fizycznemu i sportowi szkolnemu, zwiększenie wymagań stawianych Szkolnemu Związkowi Sportowemu i organizacjom młodzieżowym, przy zapewnieniu odpowiedniej bazy do uprawiania sportu może spowodować dopływ dobrze wyszkolonej armii młodych sportowców do reprezentacji kraju.

Również struktura polskiego sportu wymaga wreszcie jakiejś reformy. GKKFiT, związki zawodowe, związki sportowe, różnego rodzaju piony i federacje powodują nieopisany bałagan organizacyjny. I tak np. związki sportowe praktycznie rzecz biorąc nie mają żadnego wpływu na politykę w klubach. Tworzą się pa-

radoksalne sytuacje. Na przykład: zawodnicy mając na uwadze występy ligowe, za namową działaczy unikają występów w reprezentacji kraju. Z takimi sprawami należy zdecydowanie walczyć.

Pewne pretensje mamy także do Głównego Komitetu Kultury Fizycznej. W wielu wypadkach instytucja ta, nie bardzo wie co się dzieje w poszczególnych związkach sportowych. Z braku kontroli wynikają potem takie nadużycia, jakie ostatnio np. miały miejsce w Polskim Związku Bokserskim. Narzekamy na brak kadry szkolącej mimo, że w latach 1966-1970 nasze wyższe uczelnie wychowania fizycznego, których jest siedem, opuściło 5.200 absolwentów. Tymczasem wysła się znanych i dobrych szkoleniowców za granicę, by pracowali na sukcesy sportowe innych kra-

jów. I tak trener Nowara był współtwórcą dobrych wyników pięściarzy meksykańskich. Lekkoatletykę meksykańską postawił „na nogi” trener Puzio. Znany szkoleniowiec Augustyn Dziedzic wprowadził na postępy świata ciężarowców irańskich, aktualnie trener Kepka szkoli świetnych biegaczy w Kenii. Przypadki takie można jeszcze mnożyć.

Ale dosyć już tych narzekań. W warunkach odnowy, w atmosferze likwidowania narosłych w ubiegłych latach niedociągnięć z pewnością przyjdzie kolej i na sport. Tutaj na rezultaty długo czekać nie powinniśmy. Mamy przecież wspominać młodzież, której bliskie są świetne tradycje polskiego sportu. Trzeba jednak tej młodzieży stworzyć właściwe warunki do jego uprawiania, a to z pewnością się oplaci.

Urodził się 8 lipca 1928 roku w Krakowie. Absolwent krakowskiego liceum plastycznego, student krakowskiej ASP w pracowniach: W. Weiss, A. Marczyńskiego, Z. Radnickiego. Dyplom otrzymał w ASP w Warszawie, w pracowni Michała Byliny za obraz „Starość”. Używa pseudonimu Jen Byk. Rysunki sygnuje nieraz datą XVII-wieczną (obecnie 1671).

BARBARA KLIOMBKA FRANCISZEK STAROWIEYSKI

Gdy w styczniu wręczano nagrody za najlepsze plakaty roku 1970, aż trzy z nich przypadły Franciszkowi Starowieyskiemu. Plakatem roku uznano afisz do jedynostanowiskowego Harolda Lintera: „Kochanek” i „Lekki ból” (wyst. w Teatrze Dramatycznym w Warszawie). Plakat ten był wcześniej wyróżniony jako najlepszy w miesiącu września. Równorzędne wyróżnienie za miesiąc październik stało się udziałem plakatu „Rogi porucznika Astete” Romana del Val'a Inclana (wyst. w Teatrze Klasycznym w Warszawie). Bieżący rok dodał następną, nagrodę miesiąca marca za plakat do filmu „Mademoiselle” — Tony Richardsona.

Teatr i film, to dwa tereny działalności Starowieyskiego. Plakaty jego, a jest ich około 150, osiągnęły własny, oryginalny styl plastycznej interpretacji propagowanych treści. Dzięki temu zalicza się ich twórca do grona artystów, którzy podnieśli plakat do rangi dzieła sztuki wypracowując jednocześnie polską szkołę plakatu artystycznego. Jego pierwsze próby w tym zakresie — plakaty do filmów: „Poemat pedagogiczny” i „Matka” zrealizowane w 1956 roku pozostawały całkowicie pod wpływem rewolucyjnego plakatu radzieckiego. Zainteresowanie się w 1958 roku problematyką surrealizmu jest początkiem powstania indywidualnych, całkowicie własnych środków wyrazu, środków podporządkowanych problemowi głównemu wagi — określeniu w jak najprostszym i najbardziej komunikatywnej formie istoty dramatu, komedii czy farsy. Pozbawiony powierzchniowej ornamentyki pojawia się znak — symbol, przekazujący odbiorcy w sposób nieomylnie trafny istotę tematu. Obserwator życia kulturalnego Łodzi jeszcze raz spotyka się z nazwiskiem Starowieyski, tym razem w dziedzinie teatru. Autorami scenografii do wystawianej obecnie w Teatrze Nowym „Ameryki” — w/g F. Kafki są Ewa i Franciszek Starowieyscy. Jest to wspólna praca małżonków, znakomicie się rozumiejących w tej dziedzinie plastyki.

Scenografia Starowieyskie-

go jest dość mało spopularyzowaną dziedziną jego twórczości. Wynika to może z przemijającej formy tej gałęzi sztuki. A jest na tyle dobra, że cytują ją podręczniki poświęcone plastyce. Oprawa plastyczna spektakli teatralnych, której jest autorem, bywa raczej natury architektonicznej niż malarzkiej. Ogromną rolę odgrywa w niej rekwizyt, który w swojej wypowiedzi urasta do rangi pełnowartościowego aktora. Podobne założenia patronują opracowaniom plastycznym do teatrów TV, których Starowieyski — scenograf ma na swoim koncie ponad pół setki.

Uzupełnieniem twórczości w dziedzinie plakatu i scenografii jest ilustracja książkowa. Niezwykle piękne są ilustracje do „Kordiana i Chama” — Kruczkowskiego, „Dziecka przez ptaka przyniesionego” — Kijowskiego oraz „Karnawału” — Dygata. Najcenniejszym osiągnięciem w tej dziedzinie była nagroda na Paryskim Biennale za projekty ilustracji do „Nieznane go artysty” — Balzaca. I tu zbliżyliśmy się do najbardziej interesującej części twórczości Starowieyskiego — rysunków. Jego rysunki są pierwowidami tego wszystkiego, co znajduje się w innych pracach. Powstające falami, w nieregularnych odstępach czasu, spontanicznie, stanowią najbardziej intymną wypowiedź artysty. Niosą w sobie najwięcej informacji o jego światopoglądzie, gustach i upodobaniach. Dokładna analiza i zrozumienie podłoża poszczególnych elementów rysunków pozwala na pełną ocenę tej sztuki.

W rysunkach znajduje swój najpełniejszy wyraz niezwykła, nieprzeciętna wyobraźnia artysty, podsuwająca przedziwne wizje, w których postacie ludzi, czasami zwierząt, egzystują i przenikają się ze światem krzeseł, zegarów, instrumentów muzycznych, udrapowanych materiałów, kostiumów. Ten sposób kojarzenia, łączenia w jedno, rozumnych, żywych istot i martwych przedmiotów, usprawiedliwia zaliczenie twórczości Starowieyskiego do kregu surrealistycznej tradycji. Zakres i gatunek wyobraźni, jak również skala plastycznego



Ło 71.

talentu, warunkują jego wysoką pozycję w polskim nadrealizmie. Bliskie więzy pokrewieństwa łączą ją z wiedeńską szkołą surrealizmu. Są to: erotyzm i precyzyjna kreska rysunku porównywalna do duererowskiej. W rysunkach Starowieyskiego nawet martwe przedmioty i sprzęty posiadają cechy pozwalające na odróżnienie płci. Ale dziwny jest ten erotyzm. Nie ma w nim nic z chuci Przybyszewskiego, rysunków Styki, czy paryskich kabaretów. Niektórzy krytycy erotyzm ten nazywają: „dramatem odrębności płci, dramatem sztywności z roli i znaczenia jakie na ogół się przywiązują do spraw seksualnych”.

Niektórzy krytycy upatrują w twórczości Starowieyskiego występowanie silnego dualizmu postawy metafizycznej i racjonalistycznej. Sam Starowieyski odżegnuje się od tego. Mówi: „Przypisują mi horror, okrucieństwo, jakieś demoniczne ekscesy, sztuki szatana, magię, kabale, masochizmy. Nie lubię tych wszystkich przypisywań, nie znoszę tych okrucieństw. Moi ludzie są zawsze klasyczni, doskonali, jak z Rafaela, czy jak z XVIII-wiecznej anatomii. Wszyscy moi ludzie mają wzniosłe marzenia, mają godne ruchy. W ogóle marze o sztuce doskonale i idealnie”.

Starowieyski na pytanie, dlaczego ludzie na jego rysunkach mają skrzydła, odpowiada: „Bardzo proste, bo podrywający się człowiek ma prawo mieć podniesione skrzydła, wzniesione oczy”. Jest to bardziej patetyczne. Ma dynamiczną strukturę, a taka jest piękniejsza”.

Na pytanie, dlaczego ciało jednej z postaci jest pokryte kolcami, mówi: „Ja nie nie

dodałem, po prostu ten człowiek ma kolce”. Dlaczego z żeber człowieka tworzy się oparcie krzesła na którym siedzi, odpowiada: „Przecież to jest takie podobne w formie. Żebra tak pięknie się łączą z kształtami thonetowskiego krzesła”. I dzieje się tak często. Przedmioty przechodzą we fragmenty człowieka, ciało ludzkie tworzy się z miękko udrapowanej materii. Inne są personifikowane przez artystę nadającego im cechy biologicznej egzystencji. Dzieje się to chyba dlatego, że te przedmiotowe zegary, meble, różne drobiazgi, zachowały dla niego jakąś cząstkę egzystencji swoich właścicieli lub twórców.

Tak widzi je Starowieyski — kolekcjoner, namietny zbieracz pięknych przedmiotów. I to właśnie — piękno przedmiotu, jest najważniejszym kryterium zainteresowania się nim. A pojęcie piękna jest u niego osobnym zagadnieniem, traktowanym w sposób bardzo osobisty. Dlatego się zauważył w zbiorach medalierskich artysty.

Nieco inne kryteria towarzyszą kolekcjonowaniu zegarów — największej pasji Starowieyskiego. Tu walory estetyczne, również wysoko stawiane rywalizują z podziwem dla precyzji skomplikowanego układu trybów i wahadełek. I tu XVIII-wieczny zegarek z pięknie grafirowaną tarczą i kokiem może być równie podziwiany jak niezmiernie ozdobione, a piękne przez swa skomplikowaną złożoność, wnętrza zegara kurantowego. Stosunek artysty do zegarów jest bardzo złożony. Jest on tu poeta-astrologiem, a jednocześnie skrupulatnym rzemieślnikiem. A zegar w twórczości, to czysto plastyczny znak i symbol życia.

OBIEKTYW

„LUDZIE BEZDOMNI” — OPowiedziani z ekranu

Tęskroć oglądam na małym ekranie adaptację znanego dzieła literackiego, sumiennie każę mi zawsze sięgnąć potem po oryginał. Tak było i po edycji ekranowej „Ludzi bezdomnych” (Teatr Telewizji Katowice, 28. VI. 71 r., adaptacja i reżyseria — Lidia Zamkow, reżyseria TV — Włodzisław Pawlak).

Sięgnąłem więc po książkę i przeczytałem od deski do deski. Prawdopodobnie gdyby nie telewizja nie odbyłbym tego spotkania po latach z lekturą lat młodzieńczych. Jakaż to bogata w treści i znaczenia książka! Jak głęboko zaważyła na ukształtowaniu generacji Polaków, do której i ja należę. A i dzisiaj, gdy Związek Młodzieży Wiejskiej organizuje zloty młodych społeczników, odwołuje się do niezapomnianej postaci literackiej doktora Judymana.

Wdzięczny więc jestem telewizji, że nakłoniła mnie do ponownego odczytania książki Zeromskiego, mniej wdzięczny za wersję ekranową, którą nas obdarzyła. Powieść na ekranie wyszła dwuwymiarowo, płasko, wygubiła subtelne i złożone motywacje, zastąpiła je uproszczonym szablonem. Zaciążyła w dodatku chęć adaptatorki przekazania w możliwie pełnym wymiarze przebiegów fabularnych.

Czegoż więc tam w studiu na Bytkowie nie sprokurowano! Była więc i zabudowa starej Warszawy, i fabryka tytoniu, i okrągłe amfiteatralne audytorium, i park zdrojowy w Cisach wraz z muszlą koncertową, i nawet kawałek stawu szlamowanego przez robotników na polecenie rządcy Krzywosada. Zabrakło tylko na początek Luwru i na koniec zawałiska z rozdartą sosną, o której symbolicznie pisało się — pomnę — wypracowania szkolne.

Skomplikowane zabiegi scenograficzne nie zapewniły widowskiemu epickiemu rozmachu, ujawniały sztuczność zamarkowanych miejsc akcji. Tym razem zawiodła Lidia Zamkow pełen inwencji zmysł reżyserski. Pomysł inscenizatorski pogłębiał jeszcze stylistyczną niezborną spektaklu. Wymyślny parę takich nietrafnych reżyserskich gagów!

Atmosferę zdrowiska Cisy starała się Zamkow przekazać w serii jakby pamiątkowych fotografii ze starego albumu. Coż, kiedy nakładana na żywy obraz ze studia graficzna ramka nigdy jakoś nie trafiała we właściwe miejsce! W dodatku efekt ten powtarzany był wielokrotnie, do znudzenia.

Rozmowa między Judymem i Joasią Podborską, w której dochodzi do wyznania miłosnego, odbyła się z woli reżysera w muszli orkiestrowej, przy czym Leszek Herdegen i Maria Stokowska punktowali swoje kwestie wydawaniem dźwięków z porzuconych instrumentów. Nie wiem, po co był ten chwyt czysto formalny, rozprasający tylko nastrój tej rozmowy.

Szczególnie nie podobał mi się inny pomysł reżyserski, zapoczątkowujący scenę, w której dojdzie do awantury między Judymem i Krzywosadem. Siatyści grający robotników udają, że szlamują staw. Nadchodzi Judym. Obok niego ukazuje się na taw. półmiksle, niby zjawia senna, twarz Joasi. Zaglądam do książki i odczytuję: „Judym zatopiony po uszy w miłość nie wiedział o niczym. Gdy idąc przez groble... etc”. Ach, więc o to chodzi! To miał być ekwivalent ekranowy stwierdzenia, co w tym czasie miał Judym na myśli. Bardzo jednak wypadł prymitywnie!

Najwspanialsza jest chyba w powieści końcowa rozmowa Judymana z Joasią. Owo zejście się dwojga ludzi skazanych na bezdomność. Nic już po niej nie ma do powiedzenia. Tymczasem Zamkow wprowadza jeszcze po tej rozmowie przedstawiony epizod spotkania w bufecie dworcowym z inżynierem Korzeckiem. W dodatku skrótościwo w potraktowaniu tej postaci w spektaklu odebrała jej wszelki sens.

Adaptacji nie uratował tym razem Leszek Herdegen, choć miał momenty wręcz znakomite, ani świetnie pasująca uroda i wdziękiem do roli Joasi M. Stokowska. „Ludzi bezdomnych” opowiedziano nam z ekranu źle. Jak to się dobrze złożyło, że zaraz po obejrzeniu widowiska przeczytałem ponownie książkę.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

C FILMACH DOBRZE I ŹLE

Amerykańska „PRÓBA TERRORU” reż. Blake'a Edwardsa z Lee Remick i Glennem Fordem w rolach głównych jest przyzwyczajającym filmem kryminalnym, w którym trudno jednakże dopatrzeć się tzw. „drugiego dna”. „Drugie dno” wchodzi w zakres rzeczy modnych, które współcześnie reżyserzy lubią mieć do ukrycia, krytycy zaś do wykrycia i uszczęśliwia tym bardziej, im więcej znajduje się w nim elementów krytyki społecznej, jakichś gorzkich prawd na temat pokazywanego społeczeństwa. W „Próbie terroru” nic z tego, przeciwnie, obsadzenie Glenna Forda w roli przedstawiciela FBI sprawia, że cała ta instytucja — jak aktor — wydaje się uroczą, sympatyczną, szlachetną. Słowem, godna plemiennych miłości. Więc jeśli byśmy chcieli koniecznie odsłonić „Próbie terroru” drugie dno — to byłyby w nim niskie ukłony dla Władzy i Prawa.

Natomiast czarny charakter jest w „Próbie terroru” jednoznacznie czarny. Taki nie budzący wątpliwości po-

dział na dobre i złe, właściwe i niewłaściwe, charakteryzował dawne kryminały i w gruncie rzeczy „Próba terroru” uderza starościwieckością, starościwieckością i wtórnością. W warstwie fabularnej odwołują się w niej echa historii Landru — wyszukiwacza i mordercy kobiet, co do roboty reżyserskiej raz po raz odnosi się wrażenie, że gdzieś już się to widziało. Jest w tej robocie wiele efekciarstwa, chwytów czysto formalnych, rozwiązanie sceny końcowej wynika z niemaskowanego (zatem po trosze naiwnego) dążenia „do widowiskowości”. W sumie — rozrywka ani nośna, ani ważąca intelektualnie (jak choćby inny wyświetlany niedawno amerykański kryminał, mianowicie „Zbieg z Alcatraz”), lekko straszczą i lekko podniecająca seksualnie. I gdyby film był nieco krótszy, mogły nawet usatysfakcjonować widza, bardzo wyczerpanego upałem.

Oglądana na pokazie prasowym tuż po „Próbie terroru” japońska „SAGA O DZUDO” jest w zestawieniu z fil-

mem amerykańskim wypoczynkiem. Bo przejście ze sfery rzemiosła do sztuki ożywia i odświeża tak, jak przeniesienie się z dusznego pokoju nad źródło. Akira Kurosawa figuruje w czołówce jako autor scenariusza, ale w istocie „Saga” jest nową wersją jego debiutu. Kurosawa debiutował w roku 1943, po czym „Saga” (vel „Legenda” — jest to sprawa tłumaczenia, w oryginale wszystkie filmy zatytułowane są jednakowo „SUGATA SANSHIRO”, imię i nazwisko bohatera) doczekała się remake'u w roku 1955 w reżyserii Shigeo Tanaka i obecnie (1965) w reżyserii Seichiro Uchikawa. Myśl i umiejętność warsztatowe, tj. sposoby wyrazu stosowane przez Mistrza, patronują temu filmowi, skromnemu, czystemu i mądremu. Okazuje się, że dżudo wymaga czegoś znacznie większego niż sprawności ciała. Bystrość umysłu i siła woli są nie mniej, a raczej bardziej ważne.

Zdolność koncentracji, chęć działania i walki, zrozumienie i poczucie celu — to wartości, o które jakoś trudno współczesnemu człowiekowi. W „Sadze o dżudo” mówi się o nich wprost i pokazuje wyraźnie i może dlatego film ten tak jasno tłumaczy spotykany wszędzie na świecie, zwłaszcza w kręgach młodzieży myślącej i wrażliwej, podziw i uwielbienie dla Kurosawy, Kurosawy-artysty, lecz

przede wszystkim nauczyciela i wychowawcy. Ze scenopisu debiutu Kurosawy weszły do obecnej wersji „Sagi” słowa mistrza dżudo, Yano (Toshire Mifune), wypowiedziane do ucznia Sugaty:

„Walczysz tak jak ty, bez przyczyny i celu, nienawidzisz i atakować — czy to ma być droga życia? Nie! Ta droga jest lojalność i miłość. To jest jedyna prawda na niebie i na ziemi. To jest ostateczna prawda i tylko dzięki niej człowiek może stanąć w obliczu śmierci”.

Są to słowa wielkie i przytoczone tu, być może nieco żenują. W filmie cęzą retoryka zyskuje wiarygodność konkretno w miarę, jak brutalne ciosy dżudo przekształcają się w dotknięcia, które zmuszają ciało do upadku podnoszą ducha. Przesłaniający obraz deszcz w bucie Kurosawy, zadymka śnieżna w obecnej wersji „Sagi” symbolizują mgłę, która opanowała umysł przeciwników i ustępuje, gdy walka dobiega końca. Wiadomo, że Kurosawa, jak Bunuel i Bergman, należy do filozofów ekranu. Sławę tę — i cechę nieustającej aktualności — zawdzięcza między innymi temu, że w dziełach, które realizuje bądź które inspirowa, „akcent stawiany jest bardziej na skutkach lub przyczynach gwałtu, niż na ewokowaniu samych aktów gwałtu”. (Jay Leyda).

J. M.



Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

RODZINNY IDIOTA

Jean-Paul Sartre, pisarz i filozof egzystencjalista opublikował ostatnio w Paryżu gruba, ponad dwa tysiące stronice licząca książkę pt. „L'Idiot de la famille” (Rodzinny idiota). Dość osobliwy to tytuł zważywszy, że odnosi się on do wybitnego pisarza. Klasyka literatury, Gustawa Flauberta. Tytuł koresponduje z ironiczno-sarkastycznym ujęciem przez Sartre'a sylwetki Flauberta jako pisarza w społeczeństwie drobniomieszczan-skim, w środowisku, którego zasadniczym celem było dorabianie się.

Szesćdziesięciosześcioletni Sartre pracował niemal trzydzieści lat nad książką, a więc prawie połowę swego życia, by napisać dzieło o pisarzu, którego nie lubi. „L'Idiot de la famille” jest w zamysle autora dopiero pierwszym tomem wielotomowej biografii Flauberta. Tom pierwszy traktuje tylko o dzieciństwie i młodości Flauberta i obejmuje lata od roku 1821 do 1837, a więc jeszcze do chwili gdy napisał on swą najwybitniejszą dzieło „Madame Bovary”.

„L'Idiot de la famille” jest lekturą niewątpliwie trudną. By ją całkowicie zrozumieć czytelnik wi-



Flaubert dokonujący wtwisekci Madame Bovary. Rysunek satyryczny Lemota (1869)



Flaubert jako dziecko. Nie orientował się doskonale w filozofii, zwłaszcza filozofii Sartre'a.

Sartre poddaje szczegółowej analizie wszelkie materiały dotyczące Flauberta. Bada elementy za-

ówno biograficzne, jak jego dzieła, styl, język itp. Analizuje ponadto środowisko w jakim żył pisarz.

Według Sartre'a Flaubert był już przez historię swej rodziny, czy nawet jej prehistorię, — traktując sprawę psychoanalizy — obciążony psychicznie od momentu swych urodzin. Niemowię Gustaw, przyszły sławny pisarz, zostaje afstrustrowany już w pieluchach, a przyczyna tego jest chłód uczuciowy matki.

Mały Gustaw dorastając ma trudności mowy, potem przeżywa prawdziwy dramat, bo, w przeciwieństwie do swych brać, którzy wcześniej ucą się czytać i pisać, on dopiero między siódmym a ósmym rokiem życia opa-

nowuje te umiejętności. Z tego też głównie powodu traktowany jest przez swego ojca, tyrańskiego drobniomieszczanina, jako dziecko niedorozwinięte zapóźnione w rozwoju, rodzinny idiota. Mały Gustaw mając lat dziewięć rozpoczyna swe pierwsze próby literackie i według wyrażenia Sartre'a „irrealizuje się w irrealności”, szukając w pisarstwie imaginacyjnych rozwiązań dla swych konfliktów i problemów.

To dręczące Flauberta uczucie niepełnowartościowości zaznane w dzieciństwie nie opuścił pisarza nigdy, wpłynęło zasadniczo na jego światopogląd, ujawni się następnie w jego pisarstwie. W jego dziełach pojawiają się

zawsze te same tematy i symbole: nuda, zniechęcenie, zło, ból, nienawiść, filantropia, starość, rozpacz i śmierć. A nade wszystko motyw głupoty. Później pisarz przeżyje kryzys nerwowy, według Sartre'a, jako wynik zmużenia go przez ojca do porzucenia studiów prawniczych, a osiedlenia się w dobrach rodzinnych w Croisset. Rzekoma, czy też prawdziwa epilepsja Flauberta Sartre traktuje jako histeryczną neurozę, od której wyzwolenia szuka pisarz w swej twórczości.

Książka Sartre'a zbudziła wiele zainteresowania wśród krytyków i miłośników Flauberta. Wywołała ona na pewno fale dyskusji, sporów i omówień.

Następnie tomy, jak zapowiedział Sartre, mają przynieść analizę dalszych dzieł Flauberta z dokładną charakterystyką społeczeństwa burżuazyjnej Francji za panowania Ludwika Filipa.

ZAMIAST PĘDZLA STEMPELKI

Od trzydziestu lat znany jako rysownik pisma „New Yorker”, Saul Steinberg, mieszkający w Paryżu, pokazał na swej ostatniej wystawie w Galerii Maeght nie rysunki, ale obrazy olejne. Czternaście obrazów malowanych na drzewie umieszczono na białym paneau. Jest tu dziesięć portretów, dwa pejzaże i dwa obrazy abstrakcyjne, geometryczne, przypominające Mondriana. Kto zwiędza ową wystawę ma nieraz wrażenie czyjejś ukrytej obecności. Istotnie od czasu do czasu, gdzieś z kąta sali wyłania się niepozornie wyglądający mężczyzna i pyta: „Czy może pan (pani) powiedzieć co oznacza ten obraz? Jak pan (pani) on się podobają?”. Tym mężczyzną jest sam Saul Steinberg. A jego obrazy? Jego obrazy malowane są nie pędzlem, lecz powstają jak układane obok siebie pleczenie odskakane przy pomocy kauczukowych stempli podobnych do tych jakie są we wszystkich biurach i urzędach na całym świecie. Z tą jednak różnicą, że są na nich wyryte nie litery, ale linie proste i łamane, kropki, koła postacie mężczyzn, kobiet, zwierząt, wizerunki drzewa czy samolotu. Zbiór

takich stempli to malarstwo „alfabet” Steinberga przy pomocy którego — jak twierdzi — może „namalować” wszystko: krajobraz, portret i kompozycję abstrakcyjną. Aby stworzyć krajobraz potrzebuje 50 stempli. Steinberg twierdzi, że jego sztuka jest odpowiednikiem życia człowieka we współczesnym świecie, w którym człowiek „wstemplowany” jest w otoczenie. Nasz świat — mówi Steinberg — stworzony jest z czarnych sylwetek, które jak kregle lub olowiane figurki poruszają się wśród linearnej dekoracji maszyn, fabryk, hangarów.

Steinberg urodził się w Rumuni w 1914 roku, jako syn fabrykanta opakowań. Przez rok studiował psychologię i socjologię na uniwersytecie w Bukareszcie. W roku 1932 wyjechał do Mediolanu, gdzie studiował architekturę. Od 1936 roku był rysownikiem jednego z włoskich pismek antyfaszystowskich „Bartoldo”. W czasie wojny opuszcza Europę i wyjeżdża na San Domingo, potem udaje się do Stanów Zjednoczonych. W roku 1941 ukazuje się jego pierwszy rysunek w piśmie „New Yorker”. Później jest żołnierzem w armii amerykańskiej i przebywa na Dalekim Wschodzie, a następnie we Włoszech. Z okresu wojny przywozi całą masę rysunków. Niektóre z nich zostały pokazane na wystawie Steinberga w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Jorku w roku 1948.

NIESTRUDZONY ANOUILH

Jean Anouilh wybitny dramaturg francuski, zna-

ny dobrze i u nas pobija rekordy powodzenia. Jego ostatnia sztuka „Nie budźcie pani” osiągnęła 300 tysięcy widzów. Ostatnio, po czterech nowych sztukach Anouilh napisał jeszcze dwie, które zostaną niedługo wystawione.

LABIRYNTY ŚWIATŁA

Fantastyczne rozbiły światła, feeria kolorowych reflektorów, ogromne cienie na ekranie. Postacie baletu pośród elektronicznej muzyki walczą ze swymi olbrzymimi cieniami rzuconymi na białe ekrany. Inny obraz: baletnicy szubują poprzez czerwona mgłę. Za pomocą kolorowych światel ręcznych latarek rysują przed widzem fantastyczny, egzotyczny ornament.

Ten magiczny świat świetlnych labiryntów, olbrzymich cieni, baletu pośród niezwykłych dekoracji, barw i rozbiły światła, przy dźwiękach elektronicznej muzyki wprowadził na scenę nowojorski choreograf Alwin Nikolais. Jego „Sound and Vision Theatre” rzadko występował w Europie. Ostatnio ten teatr dźwięku i wizji dał interesujące widowisko na zakończenie Festiwalu w Wiesbaden.

Spektakl przygotowuje zawsze starannie sam jego kierownik Nikolais. Człowiek nad każdym szczegółem i wszystko obmyśla sam: maski w jakich występują tancerze, kostiumy, oświetlenie, muzykę. „Podejrzewamy — podkpiwa sobie „New York Times” — że Nikolais cierpi nad tym, iż nie może jeszcze siedzieć w kasie i wskazywać każdemu z widzów jego krzesło na widowni”.

W następnym numerze „ODGŁOSÓW”:

★ K. W. DĘBICKI — Spójrzmy na nie inaczej

★ A. F. GRABSKI — Polskie lektury

★ A. SZRAM — Czy są zabytki w Łodzi?

oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna.



A TO CI KINO!

KINEMATOGRAFICZNA PUSTYNIĄ? — W CENTRUM CZY NA PERYFERIACH? — KINO „IWANOWO” — FILMOWA TOPOGRAFIA — RACJA W POŁOWIE WSPÓLNY PUNKT WIDZENIA — HISTORIA RODEM Z ANEGDOTY

„A to ci kino!” — mówimy, kiedy nas coś ubawi lub zdziwi. Powtarzaliśmy sobie ten zwrot, kiedy czytałem artykuł Małgorzaty Karbownik w „Głosie Robotniczym”. Publicystka tej gazety podjęła bowiem nader ważny problem sieci kinowej w Łodzi, ujawniając jednocześnie fakty, na które zareagować można tylko pełnym zdumieniem — „a to ci kino!”

Oto okazuje się, że w „realnych planach” na najbliższy okres, a więc 8 lat następnych, nie ma żadnego kina! Jest to rzecz — pisze red. Karbownik — która napawa przerażeniem, rzecz, która wymaga jak najszybszej weryfikacji. Dla jasności sprawy dodajmy, że niczego wiążącego nie można powiedzieć o jedynym kinie, którego dokumen-

tacja jest gotowa — kinie „Iwanowo” na osiedlu Wielkopolska.

Przy okazji prywatna refleksja. Kiedy przed laty byłem w Iwanowie, miejscowi dziennikarze zawieźli mnie do piękniego, nowoczesnego kina „Łódź”, gdzie w hallu eksponowana jest stała wystawa fotograficzna, poświęcona naszemu miastu. Pytano mnie wówczas, czy kino „Iwanowo” w Łodzi jest równie piękne... Zrobiło mi się głupio i po powrocie opisałem tę historię w łamach „Głosu”. Wówczas nie było nie tylko dokumentacji, ale nawet konceptu, aby jedno z łódzkich kin nazwać imieniem zaprzyjaźnionego miasta. Jeśli mój ówczesny apel o kino „Iwanowo” odniósł skutek — to bardzo pięknie. Gorzej, że kina nadal

nie ma — ale przynajmniej jest koncepcja. Lecz do rzeczy. W słusznym artykule Małgorzaty Karbownik jest jednak lansowany pewien pogląd, z którym nie bardzo mogę się zgodzić. Otóż autorka rozpatrując wersje lokalizacji kin — w śródmieściu czy na peryferiach — skłania się raczej do rozwiązania pierwszego. Uważa, że nowe kina należy budować w nowym centrum, że taka lokalizacja gwarantuje frekwencję. Podaje przykład kina „Stoki”, w którym przeciętna frekwencja wynosi 20 procent.

Myszę, że rzecz w czym innym. Frekwencja nie zależy od topografii kin, lecz od repertuaru. Można by się zastanowić czy niska frekwencja w kinie „Stoki” wynika z faktu, że atrakcyjne filmy docierają tam później, niż do kin śródmiejskich, czy kieruje się je później dlatego, że frekwencja jest tam zawsze niska. Gdzie skutek, gdzie przyczyna — nie wiem tego, ale przypuszczam, że instytucja kin premierowych, zlokalizowanych w śródmieściu bardzo skutecznie „zalatwia” kina małe i peryferyjne. Jeśli przyjmujemy zasadę budowania nowych kin w śródmieściu, sytuacja ta pogłębi się jeszcze bardziej.

Rozumiem zresztą nie-

pokój publicystki „Głosu” — wiadomo, że przewiduje się przecież rozbiórki m. in. kin: „Młoda Gwardia”, „Polonia”, „Adria”. Jak dotąd nie przewidziano na ich miejsce budowy nowych kin w tym rejonie — czyli w centrum. Stąd zapewne rodzi się pogląd, że nowe kina tylko w centrum. Ale nie jest to rozwiązanie, które może zadowolić tysiące mieszkańców Łodzi. Co prawda w centrum bywamy wszyscy przynajmniej raz dziennie, do kina wszakże chodzi się wieczorem i te setki tysięcy mieszkańców nowych osiedli na obrzeżach miasta powinny mieć możliwość filmowej rozrywki, nie połączonej z uciążliwą podróżą do centrum i jeszcze bardziej uciążliwym powrotem w godzinach wieczornych, czy nocnych.

Myszę więc, że Małgorzata Karbownik ma rację w połowie. Nie wolno miłanowicie uszczuplać substancji kinowej śródmieścia, wyburzając stare, a nie budując nowych przybytków X Muzy. Nie można jednakże tego dokonywać kosztem ogromnego miasta, wyrosłego na obrzeżach Łodzi. Tzw. małe kina w lokalach adaptowanych nie są żadnym rozwiązaniem, bo — nie czarujmy się — małe kina dostaną bardzo mały (w sensie atrakcyjności)

repertuar, i znów będzie niska frekwencja i argument przeciwko peryferiom. Potrzebne są nowe, duże kina, na nowych Bałutach i nowym Widzewie, potrzebne są w wielkich osiedlach tak samo, jak potrzebne są w centrum. A może nawet bardziej.

Najbardziej smutne, choć nieco śmieszne w tej mojej opinii, jest to, że w gruncie rzeczy mamy ten sam pogląd na problem zasadniczy. Oboje jesteśmy zaniepokojeni stanem planowania nowych kin, oboje uważamy, że ilość miejsc kinowych w Łodzi nie zwiększa się, a maleje. Małgorzata Karbownik uważa, że trzeba budować kina przede wszystkim w centrum, ja uważam, że przede wszystkim na peryferiach. Mamy wspólny punkt styczni uważając, że trzeba budować.

Jest taka anegdota. Rozmawia dwu panów: „Między mną a moją narzeczoną wynika drobna różnica zdań — mówi jeden. — Ona nie chce brać ślubu w białej sukni, a ja nie chcę brać ślubu wcale...” Nasza rozmowa z pianistami i inwestorami przypomina anegdotę. My dyskutujemy, gdzie nie należy budować kin — oni uważają że nie należy budować wcale.

JERZY WIDOK

Bez strachu

WIARA I DOŚWIADCZENIE

Kiedyś, gdy plażowałem w dzień bardzo letni i bardzo słoneczny — wokół mnie rozbrzmiewało i roztaczało się lato w czystym niebie, w upalnym powietrzu, w drobnym, małym wietrzyku — kiedyś zatem, kiedy plażowałem w dzień krańcowo letni, próbowałem sobie przypomnieć zimę — doznawane zimno — świat uciepiony śniegiem, zbrojny w iglice lodu... Doznawałem już wielu zim, a jednak w tej krańcowo letniej chwili przedstawiałem w minione zimy wietrzyk, co więcej, umarła we mnie wiara w zimy przyszłe... Ta letnia chwila jest kompletna, że o garni wszystkie zimy przeszłe i przyszłe, to lato tak głębokie i pojemne starczy na zawsze, zastąpi wszelkie zimy i jesienie, to lato trwałe, bezgraniczne.

Wszystko, co widzę i słyszę — wszystko, czego doświadczam, jest latem... A jednak nawet w tej gorącej, jasnej chwili zdolałem sobie przypomnieć śniegi i lody minionych zim, czyje ręce szyćwie od zimna, głodne i kasłowe mrozy. Nie — zimy były, niewątpliwie były, otóż rzecz w tym tylko, że ich nie będzie, to lato jest zupełne, ostateczne. Myślałem o tym, czego doświadczam, i o tym, w co wierzę. Doświadczylem już wielu zim, gnany głodem i deszczem, kasany ładowicie mrozem; wystarczy sobie przypomnieć, aby w nie uwierzyć. Pamięć doświadczonych jest psychologiczną podstawą wiary. Doświadczenia minionego kształtują wiarę: „Zimy były, doświadczylem je, pamiętam je, wierzę w nie”. Otóż wiara powstaje z doświadczeń minionych. Wiara rozumna nie dotyczy przeszłości, ktoś, kto wierzy w to, czy w owo, w przyszłość, wierzy, wcale nie sądzi, że błędnie, ale bezrozumnie. Otóż wiara bezrozumna może się sprawdzić lub nie, ona jest nie przeciw rozumowi, lecz poza rozumem, natomiast wiara rozumna sprawdza się częściej. Jak mam uwierzyć, doświadczając nadmierne lato, w przyszłą zimę? Zimy minionie pamiętam, w badaniu przyszłości pamięć jest bezradna. To lato jest tak głębokie, gdybym się w nie głębiej włożył, następnym, nacielit — może by mnie uniosło w swym gorącym przemianiu i trwałym w nim stały, letni. To nieprawda, że lato jest dla wszystkich, to nieprawda, że dla wszystkich jest zima. Są tacy, którzy mijają bez upału i bez zimna, są tacy, którzy nie potrafili doświadczać i wierzyć.

BERNARD SZTAJNERT



KRYMINALNY SEANS

(Dokończenie)

Wszedłem do foyer. Zobaczyłem blondynkę idącą w moim kierunku. Wyglądała uroczo. I nagle, w tym momencie zgasiły wszystkie światła. Tlum zafalował nerwowo. Tu i ówdzie zabłyśły latarki elektryczne.

— To tylko korek — zawołałem. Niech wszyscy zostaną na swoich miejscach.

Wiedziałem, że to coś więcej, niż korek, niż dziesięć korków. Taka awaria była po prostu niemożliwa w kinie klasy Cathay. Światło zapaliło się bardzo szybko. Najpierw porozmawiałem z elektrykiem, a potem wróciłem do foyer. Panował już spokój, część osób weszła na widownię. Zabrałem blondynkę i poszliśmy na kolację. Kiedy powiedziała mi jak ma na imię, myślałem, że żartuje: Melody.

Właściwie nie była kasjerką w Cathay. Grała na organach w przerwach między seansami. Spytałem ją, co więc robiła w kasie.

— Widzi pan, ja byłam i kasjerką, ale pan Bolton dowiedział się, że gram i pozwolił mi występować. A teraz, ostatecznie, pan Bolton poprosił mnie o pomoc, kiedy wyrzucił Helenę.

Urwała trwoźnie. Spojrzałem na nią. Próbowała się opanować. Kelner przyniósł nasze koktajle. To pomogło.

— Helena była moją przyjaciółką — powiedziała. — Pan na pewno myśli o mnie źle, że dziś przyszedłem tu z panem. Ale nie mogłam zostać sama.

Spytała mnie, dlaczego w kinie zgasło światło.

— Wygląda na to, że ktoś specjalnie spalił korki i wyłączał główny przełącznik.

— Ależ to sabotaż. Kto to mógł zrobić?

— Właśnie, kto? — powiedziałem.

— Od pewnego czasu wszystko idzie u nas jak zwykle. Kiedy skończyliśmy kolację, zaproponowałem:

— Warto by zobaczyć mieszkanie Heleny. Może znajdziemy coś, co naprowadzi nas na ślad?

Skinęła głową. Poszliśmy do taksówki. Na dole dała mi klucze: — Niech pan idzie na górę, mieszkanie 3-B. Ja skoczę po piwo.

Wdrapałem się na trzecie piętro, odsukałem drzwi i wszedłem do środka. W saloniku paliła się boczna lampa. Jej żółte światło padało na siedzącego

w fotelu mężczyznę. To był Alec Hynd. Patrzył na mnie swymi oczyma bez wyrazu.

— Myślałem, że pan nie zna dziewczyny, a tymczasem pan ma klucze od jej mieszkania.

Zaśmiałem się: — Dziewczyna miała współlokatorkę. Wróci tu za chwilę.

Hynd warknął zdenerwowany: — Od dwudziestu lat jestem policjantem, Crown. I za każdym razem, kiedy amator wtyka swój nos w sprawę policji, źle się to dla niego kończy.

Melody zadzwoniła do drzwi. Otworzyłem jej. Spojrzała zdziwiona na Hynda.

— Przy pracy — odpowiedział na jej spojrzenie. — Policjant ma prawo zajrzeć do rzeczy zamordowanej dziewczyny. Pytania, które miałem pani zadać, czekają do jutra.

To rzekłszy, wyszedł.

Melody przygotowała coś do picia i zaprowadziła mnie do pokoju Heleny. Poszukiwania nie dawały efektów. Wreszcie w walizce znalazłem dwie koperty. Jedna z nich zawierała dwa bilety do Cathay. Druga list od Schramma. Kłamał, mówiąc, że nie zna jej bliżej. List był krótki i płomienny: Nie może spać, nie może jeść. Ona go oszukuje. Jeśli spotka ją z innym chłopcem, zabije oboje.

Schramm chciał się ożenić z Heleną — powiedziała Melody. — Przysięgał jej, że będzie miał masę pieniędzy, kiedy zostanie nowym kierownikiem Cathay. Mówił, że Boltonowi ziemia pali się pod nogami.

— Z pewnością. Nawet wiem, kto ją podpalił. Do zobaczenia wkrótce — powiedziałem i wybiegłem z mieszkania.

Przed domem, na ulicy, zostały ślady po robotach ziemnych. Jeden z wjazdów nie został dobrze zakryty, potknąłem się i upadłem jak długi. Dokładnie w tym samym momencie kula świsnęła parę centymetrów nad moją głową. Strzał rewolweru głucho zabrzmiał wśród ciszy. Leżałem bez ruchu. Kroki oddaliły się i ucichły. Było około pierwszej w nocy. Adres Schramma miałem w kieszeni. Piechotą było stąd pół godziny.

Czekałem na niego po drugiej stronie ulicy. Dopiero, kiedy widziałem go idącego po schodach, znalazłem budkę telefoniczną i zadzwoniłem do Boltona: — Spotkamy się naprzeciw domu Schramma — powiedziałem.

Po piętnastu minutach Bolton wysiadł z samochodu. Vic Schramm otworzył nam natychmiast. Był rozebrany do pasa. Patrzył kolejno, to na jednego, to na drugiego z nas, wreszcie wpuścił nas do środka. Bolton zamknął drzwi.

— Usiądź, Schramm — powiedziałem.

Popatrzył w kierunku sypialni.

— Czy nie zrobił wam różnicy, jeśli włożę szlafrok? — zapytał.

— Zrobi i to bardzo duża. Kleszenie są obszerne, a ja nie wiem, co w nich jest — wyjął szlafrok.

— Na przykład, co może być?

— Na przykład, rewolwer.

Schramm zwrócił się do Boltona. — O czym on mówi, u diabła? — zapytał.

Bolton wzruszył ramionami: — Nie wiem, to jest jego występ.

— Boisz się, Schramm, co? — powiedziałem. — Tak bardzo się boisz, że chciałeś wpakować we mnie kulę?

— Kulę? A dlaczego miałbym to zrobić?

— Powiem ci. Ponieważ wiesz, że ja się dowiedziałem. Chciałem mieć tę dziewczynę. Chciałem jej pokazać, jaki ty jesteś wspaniały chłop. Udowodnić, że możesz zająć wysoko, aż na stanowisko kierownika Cathay. Przez stopniowe zawalenie pracy, przez wyrabianie kinu parzyweł reputacji, przez wygryzienie Boltona.

— Udowodnij to — warknął.

— Działaj uszkodzili urządzenie elektryczne, porażając kino w ciemnościach. Nikt nie dotknął przełącznika, weźmiemy odciski palców. Tobie zależało, żeby w kinie działało się coraz gorzej.

— Przypuśćmy, więc co z tego?

— Właśnie. Może Helena domyśliła się i groziła ci?

Twarz Schramma była szara jak popiół: — Ja miałbym ją zabić? Nie mógłbym. Nie widziałem poza nią światła.

— Tu jest list, w którym grozisz, że zabijesz ją, jeśli cię porzuca.

Wyjąłem list i dwa bilety kinowe wypadły mi na rękę. Już miałem się schować do kieszeni, kiedy coś uderzyło mnie. Przecież obydwa bilety miały ten sam numer seryjny! A więc bilety były sprzedawane podwójnie!

Nareszcie zrozumiałem. Spojrzałem na Schramma, on, oczywiście, nie patrzył na mnie. Zwróciłem się do Boltona:

— Pan nikomu innemu nie dawał biletów?

Twarz Boltona była poszarzała ze zniechęcenia. Powiedziałem: — Bilety z tymi samymi numerami, kasjerka, która zorientowała się i chce...

— Bilety z tymi samymi numerami? To on, to Bolton! On fałszował bilety, on je sprzedawał, on brał pieniądze! — krzyknął Schramm.



Fot. J. Nemeth

* * *

Teraz Bolton miał rewolwer w ręku. Skierował go na Schramma.

— Oczywiście — powiedział — sprzedawałem dwieście do pięćset fałszywych biletów dziennie. Dlatego interes upadł. A ty myślałeś, że to twoje głupie triki z automatem biletowym?

Strzelił trzykrotnie, Schramm zwałił się na podłogę. Lufa pistoletu zatoczyła łuk i zatrzymała się na mojej pierści.

— To był dobry pomysł, nie?

— powiedział Bolton.

— Pięćset biletów dziennie to

kupą pieniędzy — zgodziłem się. — Kiedy zobaczyłeś, że śledzę Helenę, przestraszyłeś się, że może mi coś powiedzieć?

Przytaknął. — Musiała zniknąć. Szpiegowała mnie.

Wybuch, który targnął powietrzem, był wstrząsający. Położyłem nagły, bolesny skurcz serca, nogi miałem jak z waty. Potem nagle drzwi od strony Boltona runęły pod ciężarem człowieka, który je popchnął. Teraz spostrzegłem, że tamte strzały pogruchoły zamek w drzwiach.

Bolton zachwiał się i pochylił. Człowiekiem, który pojawił

się w pokoju, był Alec Hynd. Tym razem działał niezwykle szybko i precyzyjnie. Kolbą pistoletu uderzył Boltona w twarz. Bolton upadł.

Hynd popatrzył na niego i powiedział do mnie:

— Policjanci nie są tacy głupi, Crown. Ja sam doświadczyłem powiązań dziesięć razy ze Schrammem i postanowiłem z nim porozmawiać. Słyszałem, co tu się działo.

Wszystko, na co mogłem się zdobyć, to było: — Dziękuję.

Hynd sięgnął po słuchawkę telefonu. Wybierając numer powiedział przez ramię: — Zostaw to wszystko, Crown. Ta mała blondynka martwi się o pana.



Lewym okiem

POWAŻNA SPRAWA NA KANIKULĘ

Utarło się od dawna przekonanie powszechne, że na okres letnich upałów należy zżyznającym ludziom serwować same rzeczy lekkostrawne: zielinę zamiast schaboszczaka, kefirek zamiast rosolu na lacie (czy jeszcze ktoś wie, co to jest rosół na lacie?), festiwale zamiast serialów i „Dzięcioły” zamiast „Popiołów”. Są wprawdzie okolice świata, gdzie przez cały rok jest goręcej, niż u nas w samym lipcu. Możliwe, że tam się trawi „Dzięcioły” tak jak u nas golonkę z grochem, szczytem lekkości są „Kobiety — węże”, a wszystko w czasie przemieszane i od klimatu niezależne. Możliwe też, że w ogóle takich zmartwień ludzie nie mają i filozofia im nie grozi. U nas jednak streja umiarkowana, i klimaty, czyli atmosfera, mimo negacji redaktora Jażdżyńskiego, bardzo się liczy.

Więc jest lipiec, wszystko musi być lekkie i do śmiechu. Tu chciałoby się jednak wzorem tysięcy artykułów dziennikarskich, które analogicznie, śmierz-

telnie już zgrany, zwrot wykorzystały jako tytuł, wykrzyknąć: „Śmiech? Tak, ale jaki?” Śmiechy bowiem są różne i należałoby je skatalogować; bez skatalogowania nie będzie ani planu rozśmieshowienia, ani kontroli i sprawozdawczości, ani prawdziwych badań nad sezonowym szczytem śmiania.

Jest śmiech rubaszny, poruszający bardziej przepone niż ośrodki psychiczne, zdrowy i prosty, może nawet prostactki. Takim śmiechem zataczał się Gargantua gdy puścił głośniego bąka w uczonym towarzystwie. Dziś — jak donosi redaktor Kozicki z Ameryki — przeintelektualizowane „dzieci — kwiaty”, studenci i studentki, siedzą godzinami w milczeniu, czasem brzdękają na gitarze, czasem puszczają bąki, a wszystko na smutno. Taka forma buntu społecznego i protest przeciwko zakłamaniu dorosłych, czyli naszemu.

Rubaszny śmiech łączy się czasem z waleniem kumpi po plecach. Czasem jednak wali się w plecy tak, że nie wiadomo, czy to zaproszenie do wspólnego śmiechu, czy walenie jako takie, żeby inni mieli się z czego śmiać: z bitego. To przecież kapitalny powód do śmiechu.

Na przeciwnym biegunie jest już nie śmiech, lecz uśmiech, a nawet uśmieszek. To o nim pisali bracia Goncourt w swych „Dziennikach” jako o humorystycznej melancholii; o „smutku, który jest nie bez słodyczy, i który uśmiecha się ironicznie, kątem ust”; o „ironii zrodzonej ze sceptycyzmu, który jest formułą najmniej dostępną dla gruboskórców, tępaków, głupców”.

Pośrodku zaś ogromny wachlarz niuansów. Zamiast jednak silić się na nieporadne w tym względzie próby definicji i podziału, oddajmy głos pieruszeniu w Polsce uczonemu medykowi, Andrzejowi z Kobylina, który w swym dziele „O składności członków czło-

wiecznych” pisał w 1535 roku o różnych typach śmiechu:

„Człowiek, który się bardzo szybko śmieje a leda czemu, bywa taki grubego rozumu i też pokarmu, prosty, próżny a niestateczny, szybko wierny, nietajemny, ale na posługę powolny”.

„Który się rzadko śmieje a niedługo, bywa taki dobrego rozumu, bacznego, stateczny, tajemny, wierny, pracowity, ale pospolicie skąpy”.

„Kto nieczęsto się śmieje i owszem bardzo mało, bywa człowiek mądry, poważny i stateczny, ostrego rozumu, pilny w swej rzeczy, milczący, cierpliwy, uszakowski skąpy, gniewny, nierychło wierzący i swej myśli”.

„Kto się wszystko śmieje, gdy ku komu idzie albo gdy z kim mówi, to jest znamię człowieka obudnego, chytrego, który o siebie wiele trzyma, insze wzgardzając, przeto też taki zażry i przydradza”.

„Kto się tak bardzo śmieje, iż też kaszle albo głową chwiewie, bywa taki niestateczny, nieustawiczny w żadnej rzeczy, szybko wierzący a szybko też gniewny i na wszelką rzecz szybko przystawający”.

W sumie zaś tak się o śmiechu mistrz z Kobylina wyraził: „Czemu od wielkiego chichotania boli wnętrze, zwłaszcza wirzchnie? Odpowiedź: bowiem śledzona jest przy żółdki, a żółdek pod wątrobą wisi, wątroba pod sercem, serce też z płucami się dźwiera; tak iż ty wszystkie członki trzymają się jeden drugiego; przeto gdy się śledzona imie bardzo ruszać, co bywa w chichotaniu, tedy wszystkimi członkami onymi zatrzęsie tak, iż też bywa z boleścią, a mógłby taki śmiech być aż do umoru, jako pospolicie mówią: zdychał — prawie od śmiechu...”

No i patrzcie — jaka to poważna sprawa: śmiech...
CWIĘK